NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 15 kwietnia 1905 r. Nr. 16.

Z tajemnic warszawskiej cytadeli.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Uboga królowa: Zdetronizowana przez Francuzów królowa Madagaskaru Ranavalo Maniaka III.

Z tajemnic warszawskiej cytadeli.

(Do illustracyi tytułowej).

Cytadela — to wyraz grozą i strachem przejmujący każdego Polaka w Warszawie — wyraz równoznaczny niemal z torturami i wyrokiem śmierci. Kto był przymusowym gościem w ponurych murach warszawskiej cytadeli, a komu szczęśliwy los pozwolił jeszcze światło dzienne oglądać — wie z doświadczenia, jakich środków i sposobów używają władze, w celu wymuszenia zeznań z więźniów.

Cytadela jest obronną twierdzą, przeznaczoną do czuwania pod bokiem Warszawy nad spokojem publicznym. W razie rozruchu lub buntu, z cytadeli może być skierowany ogień na miasto, niezależnie od tego, że pilnuje tego „spokoju“ tysiące policyantów i żandarmów w ulicach i olbrzymia załoga Warszawy, złożona przeważnie z najdzikszych pułków kozackich, czerkieskich i tatarskich. W obszernych podziemnych kazamatach cytadeli mają pomieszczenie więzienia celkowe. Tu przesiadują nieraz latami całemi nieszczęśni polityczni więźniowie — wydani na wszystkie prześladowania i znęcania się żandarmów — wyczekując jak zbawienia: śmierci.

Kto raz — zwłaszcza w obecnej erze — dostanie się w kazamaty cytadeli, ten nie prędko lub wcale już z nich nie wraca. Wiedzą o tem dobrze wszyscy w Warszawie, jak wiedzą również o obszernem, wysokim murem otoczonem podwórzu, na środku którego — w wiecznym półmroku wyciąga straszne swoje ramiona — szubienica.

Wiadomość o każdem uwięzieniu wywołuje też w Warszawie bolesną senzacyę, chęć odwetu i zemsty. Przychodzi do ulicznych demonstracyj i zaburzeń i znów padają strzały, leje się krew ludu. A tymczasem w murach cytadeli rozgrywają się ciche a straszne dramaty.

Niezmiernej grubości mury cytadeli nie dozwalają przenikać żadnemu odgłosowi zewnętrznego świata, wypolstrowane drzwi, do cel prowadzące, nie zaskrzypią nawet przy otwieraniu, a grube chodniki, rozesłane po wszystkich korytarzach, tłumią nawet hałas kroków dozorców.

Zaledwie sen zwarł zmęczone łzami i czuwaniem powieki więźniów — otwierają się nagle bez szelestu drzwi i w jednej z cel ukazuje się dyżurny oficer z żołnierzami. To — posłaniec śmierci. Więzień już wie, co go czeka. Wyprowadzają go wraz z współtowarzyszami doli, wywleczonych tu z innych cel — na podwórze i ustawiają rzędem pod hańbiącem drzewem szubienicy. Niebawem ręce ich skrępowane, przez głowę zarzucona długa śmiertelna koszula i ostatni akt bezprawia rozgrywa się. Pop prawosławny przeżegnał ich zbiorowo krzyżem i ustępuje miejsca katowi. Ten, przy asyście swoich pomocników, zakłada skrępowanemu sznur na szyję, którego drugi koniec zadzierzgnął na haku szubienicy.

Pomocnicy kata wprowadzają go na schodki, a potem sami zbiegłszy z nich, szybko podrywają z pod nóg skazańcowi. Ciało zawisło — jeszcze kilka drgnień konwulsyjnych, ciche harczenie i ofiara skonała.

Straszna taka scena mordu więźniów przez zbirów moskiewskich w cytadeli, która odbyła się w zeszłym tygodniu w warszawskiej cytadeli — przedstawia wymownie tytułowa nasza rycina, zrobiona według szkicu, nadesłanego nam z Warszawy.



Głos kapłana o pomoc dla rodaków z Królestwa: Ks. prałat dr. Władysław Bandurski.

Uboga królowa.

Smutny to zaprawdę los zdetronizowanych władców świata! Pozbawieni zazwyczaj olbrzymich dochodów, jakiemi na tronie rozporządzali — urzędników swoich i służby dworskiej — pędzą królowie na wygnaniu pożałowania, a nieraz i śmiechu godny swój żywot.

Z koronowanych wygnańców ostatniej doby dziejowej, wymienić można zdetronizowanego, a nieżyjącego już dziś ex-cesarza brazylijskiego Dom Pedra, cesarzowę Eugenię, wdowę po Napoleonie III, byłą królową serbską Natalię i nieszczęśliwą królową Madagaskaru Ranavalo Maniakę III.

O tej upośledzonej przez złych ludzi i losy — biednej istocie chcemy dzisiaj z czytelnikiem pomówić. Świat miał już czas zapomnieć o jej nic nieznaczącej dziś osobie. Dzieje jej niedługiego panowania, zarówno jak i jej życia — smutne i nieszczęśliwe. Na piękne jej królestwo zwróciła chciwe swe oczy Francya i odrazu narzuciła Madagaskarowi swój protektorat — a potem panowanie. W r. 1895 zajęły wojska francuskie wyspę na własność, a królowa zmuszoną została do podpisania pokoju, o trudnych i upokarzających warunkach, wyrzekła się raz na zawsze pretensyi i prawa do tronu i królestwa swego, a zachowując tylko dożywotni tytuł królowej, zadowolnić się musiała roczną dotacyą, wydzieloną jej ze skarbu francuskiego, a wynoszącą śmieszne stosunkowo odszkodowanie—bo w całości 30.000 franków rocznie. Między innymi warunkami, narzuconymi jej w „pokoju“ przez Francyę — musiała biedna kobieta wyrzec się raz na zawsze widoku swej ojczyzny i poddać się banicyi. Jako miejsce stałego pobytu, wyznaczono jej Kairo.

Dziś na szpaltach pism francuskich odezwała się po długiem milczeniu dostojna wygnanka. Myślicie, że może z protestem przeciw przemocy wrogów, lub może wystąpiła z pretensyami do zdartej z swej skroni — korony? Nie! Ranavalo Maniaka III, zaapelowała do kieszeni swoich wrogów. Ranavalo żali się w długim artykule na niedostatek i biedę, zaglądającą w jej królewskie komnaty, biedę, której widma zażegnać nie może 30.000 franków, co roku udzielanych jej ze skarbu francuskiego. Na poparcie swej prośby przytacza, że w ostatnich latach nie sprawiła sobie ani jednej sukni nowej, co uniemożebnia jej bywanie w miejscach publicznych. Ze szczupłych — jak twierdzi — swych funduszów, utrzymuje i kształci w Europie siostrzenicę. Stawia więc żądanie o podwyższenie jej pensyi. Artykuł pisany w tonie naiwno serdecznej prośby, kończy się apelacyą do obecnego gubernatora Madaskaru Galianiego, w której exkrólowa przypomina mu, że i on sam jest żonaty z dziewczyną urodzoną na Madagaskarze—i w imię najdroższych jego wspomnień, błaga go o spełnienie swej prośby.



Uboga królowa: Generał Gallieni, gubernator Madagaskaru.

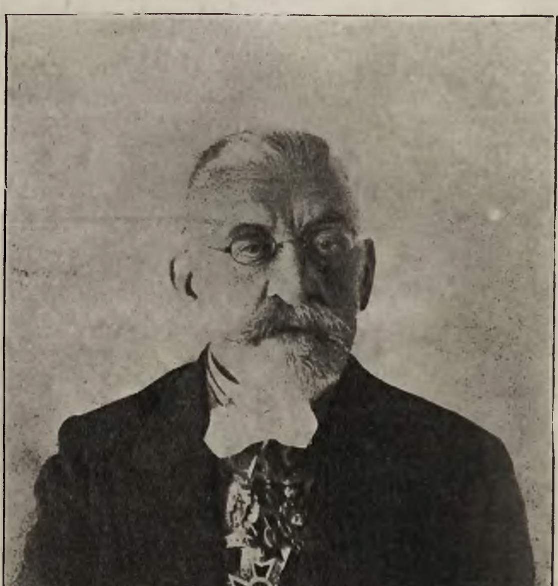
Głos kapłana o pomoc dla rodaków z Królestwa.

Żyje w Krakowie kapłan, wysoki dostojnik kościelny, który według wzniosłej nauki Chrystusa Pana, z poświęceniem i zamiłowaniem oddał się cały służbie dla biednych i maluczkich. Chorzy, kalecy i żebracy mają w nim prawdziwego dobroczyńcę i opiekuna, opuszczone i pozostawione bez dozoru dzieci ulicy, widzą w nim ojca swojego. Miłosierdzie tego kapłana nie ogranicza się jednak na uśmierzaniu niedoli i nędzy jednostek, każda klęska społeczna, każde nieszczęście narodowe — zastaje go zawsze mężnego, pełnego poświęcenia i chrześcijańskiej ofiarności — na pięknym jego posterunku: kapłana-filantropa.

Takim jest czcigodny ks. prałat dr Władysław Bandurski.

I teraz, gdy z tamtej strony Wisły od rodaków naszych z Kongresówki i Litwy płyną hiobowe wieści o bezprawiach, prześladowaniach i gnębieniu przez Moskali — o wysyłaniu setkami tysięcy braci naszych w odległe pustkowia mandżurskie, dla fantazyi petersburskiego satrapy — pod nóż i kule Japończyków — w strasznej tej, dziejowej chwili przemówiło płomienne serce i wymowne usta prałata.

W przepięknej, patryotycznej odezwie, zamieszczonej w miejscowych dziennikach, wskazuje ks. Bandurski na bezwzględny obowiązek społeczeństwa polskiego względem braci naszych z pod



Rezygnacya burmistrza Czerniowiec: Ustępujący burmistrz Antoni baron Kochanowski.

rosyjskiego zaboru. Przedstawiwszy w barwnych słowach straszną dolę tysiąca rodzin, pozbawionych ojców swych i mężów, pogrążonych w ostatnią otchłań nędzy materyalnej —apeluje ks. Bandurski do ofiarności społeczeństwa, które nigdy jeszcze w ciężkich chwilach nie zawiodło. Pomoc ta tem potrzebniejsza, a obowiązek jej tem świętszy, że rozchodzi się tu przecież o krew z krwi, kość z kości naszych!

Odezwa kończy się rzuceniem projektu, by zarówno młodzież, jak i ludzie starsi, zawiązywali odpowiednie komitety, mające na celu niesienie materyalnej pomocy ofiarom rewolucyi i wojny.

Oby głos czcigodnego kapłana odezwał się żywem echem w sercach wszystkich Polaków!...

Walka Kreteńczyków o niepodległość.

Na Krecie wybuchło znowu obecnie powstanie. Wszędzie – i to jest cechą dziejów dziewiętnastego i dwudziestego wieku – budzą się poczucia swobody i ukochanie wolności, a Kreta już nie po raz pierwszy zerwała się do walki o niepodległość.

Zamieszkana głównie przez Greków, ciągnie ku Grecyi i z każdym rokiem objawia się coraz silniejsza tendencya połączenia się z macierzystym krajem. W r. 1898, po dwuletniej walce oddziałów powstańczych, komisya międzynarodowa, przywróciwszy spokój przy pomocy sił kilku mocarstw europejskich, ustanowiła księcia greckiego Jerzego komisarzem generalnym wyspy i jemu oddała naczelną władzę, którą miał sprawować pod kontrolą i dozorem komisyi międzynarodowej. W ten sposób zniesione zostały despotyczne rządy Turcyi nad Kretą, a Kreteńczycy mogli uważać to za stan przejściowy do zupełnego zlania się z Grecyą. Na straży spokoju stanęły wojska angielskie, francuskie, włoskie i rosyjskie, które stoją załogą po miastach Krety.

Ale taki stan nie zadowolił kochających swobodę i wolność Kreteńczyków, którzy postanowili dążyć do zrealizowania swego ostatecznego celu przemocą. Z początkiem bieżącego roku, delegaci Kreteńczyków wręczyli księciu Jerzemu memoryał, domagający się przyłączenia Krety do Grecyi. Spodziewali się, że książę potrafi, poparty opinią ludu, wymódz na mocarstwach europejskich zezwolenie na spełnienie tego słusznego, zrozumiałego i wzniosłego żądania. Wobec tego, że dyplomacya europejska sprawę przyłączenia Krety do Grecyi pogrzebała w koszu, Kreteńczycy zorganizowali powstanie, o którego wybuchu doniosły dzienniki.

Zgon pierwszego syna Chorwacyi.

Z Chorwacyi nadchodzi smutna wieść, która żałobnem echem odezwie się w sercu każdego Słowianina: W Osieku, małej mieścinie chorwackiej, zmarł zasłużony swej ojczyznie i sprawie ogólnosłowiańskiej — sędziwy biskup Zagrzebia, Józef Jerzy Strossmayer.

Imię zmarłego jest ściśle i nierozłącznie połączone z dziejami Chorwacyi. On stworzył w kraju stronnictwo niezawisłości politycznej — on wytyczył polityce wspaniały program, który opierając się na historycznych faktach i ich dziejowych konsekwencyach — dąży do samodzielnego państwa chorwackiego, w obrębie austryackiej monarchii. Według rozumowości Strossmayera i nieśmiertelnego jego programu politycznego, uznanego zresztą przez ogół Słowian, wchodzących w skład państwa — monarchia habsburska ma jedynie przyszłość w federacyjnym związku poszczególnych narodowości.

Po za tem kolosalnem, duchowem dziełem, był zmarły biskup czynnym na każdem polu, gdzie dla dobra swego narodu mógł był pracować— a praca jego, wspaniałe zaiste owoce wydała! Jemu zawdzięczą ojczyzna założenie południowo-słowiańskiego uniwersytetu w Zagrzebiu, na który to cel sam pierwszy, z własnej szkatuły, ofiarował 50.000 złr. Jego ofiarności stanął również gmach akademii umiejętności w Zagrzebiu, któremu podarował jedną z najwspanialszych w Europie galeryi, mającą wartość przeszło milion złr. W dyecezyi swojej postawił również własnym kosztem katedrę w stylu romańskim,



Zgon najlepszego syna Chorwacyi: ś.p. Ks. Józef Jerzy Strossmayer, biskup Djakovaru.

która mieści w sobie prawdziwe klejnoty sztuki w malarstwie i rzeźbie. Strossmayer wspierał głęboką swą wiedzą i hojną dłonią „Macierz chorwacką" i „Towarzystwo św. Cyryla i Metodego" — odpowiadające naszemu „Tow szkoły ludowej".

Syn biednego mieszczanina, urodził się Józef Jerzy Strossmayer w Osieku, w Slawonii, w r. 1815, a po ukończeniu studyów filozoficznych i teologicznych, otrzymał w r. 1838 święcenia duchowne. Poświęciwszy się zrazu zawodowi pedagogicznemu, udzielał matematyki i nauk przyrodniczych, aż wreszcie powołany został na godność rektora zakładu teologicznego „Augustineum" we Wiedniu i równocześnie został kapelanem cesarskim. Już w 34 roku życia otrzymał infułę, biskupią i należał wraz ze Smolką do grupy federalistów w ówczesnej wiedeńskiej Radzie państwa. Wskutek intryg niemieckich i węgierskich, zmuszony był usunąć się z szerokiej areny życia publicznego — i w ojczystym kraju poświęcił siły i środki swe dla dobra narodu. Zmarł na zapalenie płuc, w sędziwym wieku, bo licząc lat 90. Nad świeżą jego mogiłą płacze dziś cała Chorwacya, która przez usta swych poetów, nadała mu swego czasu piękny, zaszczytny i zasłużony tytuł: „pierwszego syna ojczyzny!!..."

Rezygnacya burmistrza Czerniowiec.

Znana to i szanowana postać w stolicy Bukowiny, dotychczasowy prezydent miasta! Dziś—staruszek 80-letni, poświęciwszy życie swe i siły dobru ukochanego grodu i jego mieszkańcom—przyszedł do przekonania, że dosyć pracy i trudu oddał w dobrowolnym trybucie społeczeństwu, że dosyć zdziałał, by z czystem sumieniem i przekonaniem o spełnionych obowiązkach—usunąć się w zacisze prywatnego życia, a odpowiedzialny swój posterunek zdać następcom swoim.

Zasługi Antoniego barona Kochanowskiego są istotnie niemałe, a zdumiewają swoją doniosłością i różnorodnością zakresów działania. Kochanowski należy do reprezentacyi Czerniowiec od samych początków ukonstytuowania się pierwszej rady gminnej, t. zn. od r. 1864. Burmistrzem wybierany był z rzędu 9-krotnie, czyli był głową miasta nieprzerwanie przez lat 30. Przez dwa lata był prezydent Czerniowiec zastępcą marszałka krajowego, a w r. 1874 zamianowany został marszałkiem kraju i piastował zaszczytną tę godność przez lat 10. Był również posłem do Rady państwa włącznie do r. 1895.

Prócz tej obywatelskiej, reprezentacyjnej pracy, zasłużył się bezpośrednio ustępujący burmistrz— swemu miastu, przez wprowadzenie w niem instycyj i urządzeń, które nadały Czerniowcom typ i charakter zachodnio-europejskiej stolicy. Kanalizacya, wodociągi, elektryczne oświetlenie ulic i tramwaj elektryczny—oto owoce ruchliwej jego działalności około dobra miasta.

Wybitny i niezmordowany ten człowiek, zwrócił też niebawem uwagę społeczeństwa i najwyższych władz na siebie. Społeczeństwo wyraziło mu swe zaufanie i wdzięczność — jak to wyżej nadmieniliśmy — przez powołanie go do reprezentacyi w Radzie Państwa i wybór na prezydenta. Panujący zaś odznaczył go nadaniem orderu żel. korony III klasy, a następnie krzyżem komandorskim orderu Franciszka Józefa, wreszcie orderem żel. korony II klasy i tytułem barona.

Ostatni akt wdzięczności obywateli dla Kochanowskiego, miał wyraz w mianowaniu go tytularnym, dożywotnim burmistrzem, z pozostawieniem mu wszystkich dotychczasowych, urzędowych poborów. Po za tem nazwano na jego cześć jedną z ulic „ulicą prezydenta Kochanowskiego" i utworzono „pieniężną fundacyę im. honorowego prezydenta Kochanowskiego" ku wspieraniu ubogich.



Walka Kreteńczyków o niepodległość: Delegaci Kreteńczyków, którzy wręczyli ks. Jerzemu memoryał w sprawie połączenia Krety z Grecyą.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

28 (Ciąg dalszy).

— Zbrodniarza! zbrodniarza! — jękła Zosia żałośnie. — Nie pani, nie jestem córką zbrodniarza... jestem córką uczciwego człowieka.

— Czyż ojciec twój nie dopuścił się zbrodni?

— Ojciec mój, chociaż skazany na katorgę, jest niewinnym, niewinnym, niewinnym! — szeptało dziewczę, przyciskając drżące ręce do rozpalonego czoła. — Jeśli kiedykolwiek powróci z Syberyi, pójdę za nim, dokądkolwiek się uda; dzielić z nim będę niezasłużoną hańbę i osładzać jego cierpienia!

— Zosiu!

— Och! dobrodziejko moja, tęsknić za tobą będę — mówiła gorączkowo, całując rękę księżnej — tęsknić, wspominać i żałować, zawsze czcić cię będę i zawsze będę ci wdzięczna, lecz obowiązek mój spełnię... bo to moja najświętsza powinność. Nie wyprę się ojca, który mnie tak bardzo kochał; stanę przy nim, żeby mu być pomocą i wsparciem... a może... może, połączeni razem, zdołamy odszukać babkę i siostrę...

— Więc o tem wszystkiem myślisz, gdy siedzisz nieraz milcząca i pogrążona w dumaniach? — zapytała księżna.

— Tak, księżno-pani... o tem wciąż myślę.

— Więc mnie nie kochasz... i może nigdy nie kochałaś?... Jestem dla ciebie niczem, jeśli tylko wdzięczność odczuwasz dla mnie!

— O! najdroższa pani, wdzięczność to bez granic, którą tylko śmierć moja przerwie — rzekła Zosia, podnosząc załzawione oczy w górę — wdzięczność, łącząca w sobie miłość, najgłębszy szacunek i uwielbienie dla cnót twoich i dobroci! Serce moje daję ci, szlachetna opiekunko moja, to wszystko, co dać może!

Księżna zamilkła nagle i pochylona nad robotą, zamyśliła się głęboko.

W pałacu na Smolnej, odbył się wieczorem objad pożegnalny. Do stołu zasiedli: pani domu, Zosia, ksiądz Wielogrodzki i Filip Glenmour.

Jerzy nie zjawił się, przysłał jednak kartkę, w której usprawiedliwił swoją nieobecność konferencyą z adwokatem w bardzo ważnych sprawach: w istocie zaś, posiliwszy się pospiesznie w jednej z pierwszorzędnych restauracyj, ruszył dorożką pierwszej klasy na ulicę Ordynacką, rano bowiem otrzymał list następujący:

„Kochany hrabio!

„Zaprawdę, powiadam, że od pewnego czasu szczęście mi sprzyja. Udało mi się wygrać na wyścigach parę niezłych stawek, a nadto pewnego poranka spotkałem w Saskim ogrodzie moją żonę i pogodziłem się z nią, ku wielkiej jej uciesze. Niedość tego, przeniosłem się do zamieszkanego przez nią poddasza na trzeciem piętrze, przy ulicy Ordynackiej. Racz się pofatygować dziś do nas po obiedzie na czarną kawę. Żona moja mocno się postarzała, lecz jeść gotuje wcale dobrze, a kawę przyrządza wyśmienicie. Są to przymioty, których rozsądny człowiek nie lekceważy.

Pozostaję kochany hrabio twoim wiernym sługą Bogajewski.

Jerzy przebiegł szybko schody wskazanego mu już dawniej domu i zatrzymał się dopiero przed środkowemi, niskiemi drzwiami na trzeciem piętrze.

Usłyszawszy dzwonienie, otworzyła mu je Franciszka.

— Czy tu mieszka pan Bogajewski?

— Tutaj. Proszę wejść — rzekła drżącym głosem.

Znany nam pokoik jaśniał jak dawniej wzorową czystością i ładem, chociaż tu i owdzie na meblach leżały, lub wisiały, rozpoczęte roboty kobiece.

Bogajewski przedstawił Jerzemu żonę.

— Czy pan hrabia napije się z moim mężem czarnej kawy? — zapytała uprzejmie.

— Ma się rozumieć! — odparł niecierpliwie Bogajewski, nie dając przyjść młodemu człowiekowi do słowa. — Kawy przygotowanej rączkami jednej z trzech Gracyj, nikt nie odmawia.

Franciszka podniosła smutne oczy na męża i nic nie odpowiedziawszy na żart bolesny i upokarzający, nalała z maszynki kawę do filiżanki, zapraszając Jerzego, żeby usiadł przy stole.

Biedna kobieta w ciągu upłynionych lat ośmiu, zmieniła się do niepoznania. Gęsta sieć zmarszczek pokryła jej gładkie przedtem czoło. Blade i dawniej wargi, pobladły jeszcze bardziej, jakby z nich krew całkiem uciekła. Czarne niegdyś włosy bieliły się już gdzieniegdzie przedwczesną siwizną. Nic prawie z jej minionej piękności nie pozostało, prócz prześlicznych, dużych oczu. Malował się w nich wprawdzie niepokój i smutek, błyszczały jednak, jak i przed laty, wyrazem niewysłowionej i czarującej słodyczy.

— Ja, widzisz hrabio — mówił pasożyt tonem ironicznym — pogodziłem się z moją panią, dla której była to frajda, co się zowie. Wprawdzie drożyła się nieco z początku, lecz, jako mądra osoba, zrozumiała szybko, że prawnie ja tu jestem panem, bośmy się przecie nie rozwiedli, ani nawet wnieśli do konsystorza podania o separacyę. Wprawdzie puściłem ją nagle w trąbę przed kilku laty, lecz wie, że miałem potemu słuszny powód. Wdepnąłem w pewien zły interes, z którego nie było innego sposobu wywinięcia się, jak ucieczka. Ale to już historya starożytna! Niema co o niej myśleć, bo obecnie śmiało mieszkać mogę w Warszawie. Dlatego też, zupełnie spokojnie ulokowałem się tu... u siebie... ku uciesze i radości mojej sarenki.

To mówiąc, śmiał się głośno. Chwycił żonę w pół i ciągnął ku sobie, lecz Franciszka odskoczyła na bok. Jej zmęczone pracą oczy, zaczerwienione od łez, wylewanych coraz częściej od chwili pojednania się z niegodziwcem, zwróciły się na niego błagalnie, jakby prosiły, by ją pozostawił w spokoju.

— Wesołą dozgonna moja towarzyszka nie jest — rzekł Bogajewski, potrącając żonę niemal brutalnie. — Najniewinniejszy żarcik do spazmów ją doprowadza. Za nic w świecie zgodzić się nie chce na żadną rozrywkę. Zaproponowałem jej kiedyś wyprawę łodzią na Saską Kępę; innym razem namawiałem, by wybrała się wraz ze mną na wyścigi... lecz uparta niewiasta odrzuciła obie moje grzeczne propozycye. Pani woli nadąsana siedzieć w domu!

— Wszakże muszę pracować!

— Ba, pracujesz, żeby zarobić dziennie pół rubla!

— Za pół rubla, którym pomiatasz, żyłam jednak lata całe od chwili, gdyś mnie porzucił.

— Czy to wyrzut?

— O, nie! Nic ci nie wyrzucam... nie mogę jednak chodzić z tobą na zabawy i spacery. Pracuję dla zakładu, zapewniającego mi byt i utrzymanie, nie chcę zatem przez nieakuratność i zaniedbanie stracić roboty... bo nie wiadomo, co stać się może w przyszłości.

— Widzę, że jesteś kobietą ostrożną!... Zastanów się jednak, że pracując w taki jak dotąd sposób, niszczysz oczy i marnujesz życie. Nie jesteś już ową śliczną Franią, którą niegdyś pokochałem. Zwiędłaś i zbrzydłaś. Spojrzyj na swoje palce. Co się z nimi stało? Od ukłuć igłą poczerniały i zgrubiały. Nie masz czasu uczesać się porządnie; perfum nie używasz wcale. Jak tak dalej pójdzie, staniesz się pożałowania godnym łachmanem...

— Och, wiem, że rok każdy dla mnie, jak dla żołnierzy na wojnie, liczy się podwójnie, lecz mniejsza o to!... Nie chcę i nie będę żyć długo.

— Zdawało mi się jednak, żeś promieniałaś szczęściem na mój widok, gdyś mnie spotkała w Saskim ogrodzie. Czyżbyś już żałowała czasów, w których mieszkałaś na tem poddaszu sama?

Franciszka milczała.

Wzięła dziecinną koszulkę, leżącą na komodzie, a na której czerwonym jedwabiem cyfry wyhaftować miała; usiadła przy oknie i obojętna na toczącą się następnie między mężem a Jerzym rozmowę, pracowała pilnie, cicho i spokojnie, jakby w pokoju nie było nikogo.

Kiedy niekiedy Wielogrodzki rzucał na nią okiem. Wydawała mu się jeszcze piękną, a przynajmniej bardzo interesującą swą prostotą, pełną godności i dziwnej jakiejś powagi. W ciągu jednak długiej i przykrej dyskusyi, jaka toczyła się między mężem i żoną, nie stanął w obronie udręczonej, bo jako egoista w każdym calu, pomyślał sobie: „Wszakże nie jej, lecz jego potrzebuję".

Franciszka, pochylona nad robotą, pracowała pilnie i gorączkowo, żeby odzyskać czas stracony, od dnia bowiem przybycia Bogajewskiego na ulicę Ordynacką, zmuszoną była prawie nieustannie nim się zajmować i jemu ciągle usługiwać.

— Ponieważ marzysz — rzekł do niej ironicznie Bogajewski, przerywając na chwilę rozmowę z Jerzym — więc cię pozostawimy tutaj, a sami ruszymy na miasto... Powrócę prawdopodobnie dopiero o północy, lecz nie troszcz się o mnie. Mam klucz od mieszkania, możesz więc położyć się spać, kiedy zechcesz.

Wyszli.

Wtedy Franciszka zasłoniła twarz rękami i wybuchła głośnym płaczem. Człowiek, którego niegdyś tak bardzo kochała, który długo wydawał się jej dobrym i szlachetnym, a który jednak nikczemnie ją porzucił — powrotem swym nagłym i już nieoczekiwanym, zamącił teraz jej ciche życie, narzucił się samolubnie, jak tyran domowy. Czy pozostanie przy niej na zawsze w szczupłem mieszkanku, w którem, pomimo samotności i opuszczenia, czuła się prawie szczęśliwą dopóki go nie było?... Wprawdzie ciężko pracować musiała, żeby zgodzić i zrównoważyć dochód z rozchodem, lecz nigdy nikomu nic nie była dłużną i nie niepokoiła się o przyszłość. Niestety, teraz o spokoju marzyć nie może. Ma pana bez litości; stała się jego niewolnicą. Łagodna i bierna, poddawać się musi jarzmu, w jakie egoista i grubianin wprzągł ją z cyniczną bezwzględnością.

Odgłos kroków obu mężczyzn, zstępujących po schodach, ucichł naraz. Franciszka otworzyła okno i wyjrzała na ulicę. Jerzy z Bogajewskim szli ku Nowemu-Światu.

Wieczór był śliczny; jeden z tych cudnych u nas wieczorów czerwcowych, gdy wiosna łączy się z latem, tworząc dziwnie przyjemną porę przejściową, jeszcze nie dokuczającą upałem, a przecież rozkosznie ciepłą. Kwitnące kasztany i czeremchy Saskiego ogrodu — ku któremu zdążali Jerzy i jego totumfacki — rozsyłały daleko w około upajająco aromatyczne wonie.

— Zatem fakt dokonany, masz znowu gniazdo rodzinne — rzekł młody człowiek do Bogajewskiego. — Nie wiem jednak, czy długo będziesz z niego zadowolony, zakułeś się bowiem w ciężkie kajdany.

— Och, skruszę je bez wahania, gdy się okażą niedogodnemi w moich interesach! Powiem ci zaś hrabio szczerze, że gdy powrócę do mieszkania w nocy, nie zniosę samotności. Nadto Frania oddaje mi niemałe usługi: czyści z rana ubranie, utrzymuje wzorowy ład w mojej garderobie i... przyrządza na obiad smaczne, wyśmienite, domowe potrawy, za któremi przepadam, a których za żadne w świecie pieniądze nie dostałbym w restauracyi. Mam w niej tym sposobem bezpłatną gospodynię i kucharkę, która w lot spełnia każde moje życzenie.

Jerzy wybuchnął głośnym śmiechem.

— Dobrze, dobrze! śmiej się hrabio ile ci się podoba, bo nie wątpię, że i ty wkrótce się ożenisz... a gotów jestem rękę w ogień włożyć, że istota, którą pojmiesz sobie za małżonkę, będzie wychowanicą twojej ciotki.

— O, co to, to nie! Nie popełnię nigdy mezaliansu. Wielogrodzki z Żarską ożenić się nie może.

— Z Żarską?... To ona zowie się Żarska?

— Czyż ci tego nie mówiłem?

— Nigdy w życiu! Nazywałeś ją zawsze Zosią, albo panną Zofią, a mnie nie przyszło na myśl zapytać o jej nazwisko. Więc powiadasz, że wabi się?...

— Zofia Żarska. Czemu tak na mnie patrzysz? Czy może znasz jej rodzinę?

— O ile mi się zdaje, nie... bo chociaż paru Żarskich spotykałem niegdyś w Warszawie i na prowincyi, lecz to nie mogli być jej krewni... Tylko... tylko, a propos tego nazwiska, przypominam sobie dramat, który rozegrał się przed ośmiu laty w jednym z domów przy ulicy Marszałkowskiej... nie! w Alejach Ujazdowskich...

— Dramat? w Alejach Ujazdowskich?.. Czemu milczysz? Mów dalej!.. to, co mówisz, bardzo mnie interesuje...

Bogajewski przesunął ręką po czole, jakby tym ruchem chciał zbudzić dawne wspomnienia.

— Nie było mnie już wówczas w Warszawie. Wyniosłem się z naszego ukochanego miasteczka po angielsku, nie żegnając się z nikim... no! i umierałem z nudów w Krakowie, u jednej z moich ciotek, starej dewotki, która przyjęła gościnnie marnotrawnego siostrzeńca, ale gdy się jej naprzykrzyłem... a naprzykrzać się umiem... zaopatrzyła mnie w drobną monetę, paszport, bilet na okręt, wypływający z Tryestu i wyprawiła do Ameryki, gdzie miałem zaszczyt i przyjemność spotkać i poznać cię, kochany hrabio. Otóż, nudząc się straszliwie w Krakowie, czytywałem codziennie „Kuryera Warszawskiego", który przez trzy miesiące z rzędu, połowę swoich szpalt poświęcał sprawie zamordowania hrabiego Jelskiego... Jelski, znany mi z widzenia, był starym, nałogowym, niepoprawnym Don-Juanem, uganiającym się za szwaczkami, zamordował go zaś jakiś młody lekarz, który... to sobie doskonale przypominam... zwał się Żarski.

— Ba! mój drogi, i ja, chociaż młodszy od ciebie, dosyć często spotykałem różnych Żarskich. Jest to jedno z pospolitych i często powtarzających się nazwisk w Polsce.

— Lecz, widzisz hrabio, ten Żarski, o którym ja mówię, doktór Marcin Żarski, miał dwie córki: Sabinę i Zofię.

— Tam do dyabła! jaką ty masz pamięć!

— W chwili spełnienia zbrodni, córeczki lekarza... bliźnięta... liczyły po lat ośm.

— Cudowny z ciebie człowiek!

— Otóż protegowana księżnej pani, jak mi powiedziałeś, zaczęła obecnie szesnastą wiosnę, jest zatem rzeczą całkiem możliwą i bardzo prawdopodobną, że to ona jest córką człowieka, który udusił Jelskiego.

— Powiedz mi, czy mógłbyś przypuścić choć na chwilę, że ja taką dziewczynę poślubię? — rzekł Jerzy, wzruszając ramionami.

Równocześnie zaś myślał w duchu: „Bogajesio widocznie nie wie, że hrabia Jelski był mężem siostry mojej matki“.

— Jednakże — cedził, uśmiechając się złośliwie pasożyt—sądzę, że się z nią hrabia ożeni.

— A to z jakiego powodu?

— Są aż dwa.

— Jakie?

— Przedewszystkiem panienka jest zachwycająco piękna.

— Zgoda!

— Ten jeden wyraz, wypowiedziany z przekonaniem, świadczy, że hrabia masz gust dobry.

— A druga przyczyna?

— Druga, stanowczo rzecz rozstrzyga. Księżna Sieńska, oczarowana przez swoją wychowanicę, gotowa jest przyznać jej rejentalnie, albo zapisać w testamencie... milionowy posag.

Jerzy drgnął całem ciałem.

— Musisz, panie hrabio, postępować z tą dziewczyną bardzo ostrożnie — ciągnął dalej totumfacki — bo kto wie, czy nie zdmuchnie ci na raz obu sukcesyj, tak po ciotce, jak po księdzu Wielogrodzkim. Ten ostatni, nie nosi hrabiego wcale w swojem sercu; niema dla ciebie odrobiny sympatyi...

— Zkąd wiesz o tem?

— Och, ja wiem wszystko! Zresztą, czyż nie dość jawnie manifestuje swoją obojętność dla jedynego synowca i dziedzica historycznego nazwiska.

— Stryj mój, nie należy do ludzi wywnętrzających się łatwo; uczuciami rodzinnego przywiązania popisywać się nie lubi. Przytem wszystko, co nie dotycze bezpośrednio ubogich i nędzarzy, nad którymi czuwa i którymi się zajmuje, mało go co w życiu codziennem obchodzi.

— Ba, ba, ba! Pogadaj z nim z łaski swojej o pupilce księżnej, a zobaczysz, z jakiem szczerem uniesieniem ci odpowie. W każdem słowie, gdy o niej mówi, tętni szczera życzliwość! Chciej mi wierzyć, że ze względu na interesa majątkowe... a przedewszystkiem sukcesyjne... masz w pannie Żarskiej niebezpiecznego przeciwnika i wroga... dobrze mówię: i wroga... musisz zatem w całem z nią zachowaniu rządzić się wielką uwagą i ostrożnością.

Jerzy pogrążył się w głęboką zadumę.

Wszystko, o czem mówił Bogajewski, nieraz już przychodziło mu na myśl. Tak, tak... piękna dziewczyna może być dlań bardzo niebezpieczną i stać się w przyszłości zażartą nieprzyjaciółką, jeśli wprzódy nie zdoła jej w sobie rozkochać — no! — i zbałamucić.

Młody człowiek wydął po chwili pogardliwie wązkie wargi i rzekł do towarzysza, przechodząc z głównej, w boczną aleję ogrodu:

— Jednakże, jeśli to, co mi przed chwilą opowiedziałeś, jest prawdą, to nie ulega wątpliwości, że ciotka, dowiedziawszy się o pochodzeniu tej panny, nie zatrzyma jej nadal przy sobie. Znam charakter księżnej, wiem, jak surową jest rygorzystką w sprawach moralności; ręczę ci, że nie zechce przebywać ani godziny pod jednym dachem z córką rozbójnika, dusiciela i mordercy. I słusznie postąpi, bo niedaleko pada jabłko od jabłoni... jaki ojciec, taka córka...

— Domyślam się, że pan hrabia, jako uczony, mówisz o tak zwanym atawizmie, przekazującym dzieciom we krwi zarazki moralne rodziców. Ależ to blaga, kochany hrabio... uczona blaga, nic więcej! Jestem przecię koniarz z profesyi i znam się na tem z doświadczenia, lepiej od uczonych. Przymioty i wady fizyczne, nawet po oddalonych przodkach, odziedziczyć można, lecz moralnych ani rusz!

— Nie wierzysz w atawizm?

— Ma się rozumieć, że nie.

— No, to nie mówmy o tem — szepnął Jerzy, uśmiechając się pogardliwie — zresztą, kwestya... a raczej jej strona praktyczna, niema nic wspólnego z teoryą, którą lekceważysz. W obecnej chwili, chodzi mi tylko o sprawdzenie: czy Zosia jest istotnie córką Marcina Żarskiego?

— Dowiem się o tem.

— Jakim sposobem? od kogo?

— Od mojej żony, która na pensyi kolegowała z panną Eugenią Molską. Otóż ojciec panny Molskiej jest sędzią. On to prowadził śledztwo w sprawie morderstwa hrabiego Jelskiego. Bardzo łatwo dowie się zatem, ce się stało z córkami skazanego, bo przecież sądownictwo ma na usługi policyę, a policya wiedzieć musi, gdzie się podziały. Molski opowie córce całą historyę, córka powtórzy ją Frani, a Frania mnie.

— Stanowczo obejść się nie mogę bez ciebie! — zawołał Jerzy uradowany. — Jesteś człowiekiem pomysłowym, a pomysłowość twoja zaprowadzi cię bardzo daleko.

— Oby tylko nie za daleko!.. Lecz powiedz mi hrabio, gdy cała prawda znaną ci już będzie, co uczynisz... co postanowisz? Przedewszystkiem nie postępuj gwałtownie, ani lekkomyślnie. Księżna



...Franciszka zakryła twarz rękami i wybuchła głośnym płaczem...

w Zosi zakochana, żądać będzie dowodów faktycznych, a ksiądz Wielogrodzki, protegujący zawsze wszelkich nędzarzy, potrzebujących wsparcia i pomocy, kto wie czy nie stanie w obronie prześladowanej... jeśli prześladowanie prowadzone będzie niezręcznie.

— Nie pytaj mnie, kochany Bogajesiu, co myślę uczynić, bo ja sam nie wiem, co pocznę i jak sobie dam radę. Nie umiem z góry układać, ani kombinować rozległych planów; czekam zawsze na chwilę moim zamiarom pomyślną. Gdy ta nadchodzi, umiem zdecydować się nagle i działać z piorunującą szybkością.

— Byle piorunująca szybkość nie wyrodziła miłości, bo miłość niszczy i pali jak piorun najsilniejsze zamiary, głusząc zarazem najzawziętsze urazy i rankory!

— Ależ, mój drogi, ja nie kocham panny Zofii!

— Być może!... Chciałbym nawet w to uwierzyć, mniemam jednak, że mieszkając z nią razem, zwłaszcza na wsi, doczekać się musisz fatalnego momentu, w którym zapragniesz ją posiąść. Jest zbyt piękną, aby ta chwila nadejść nie miała.

— Nie! Powtarzam ci, nie pokocham jej nigdy.

— Tak się to mówi!... Pomyśl tylko, że na wsi, w waszem malowniczem lubelskiem, spotkasz się z nią nieraz sam na sam... w parku, na łące, w lesie, wśród uroczej przyrody, w dzień tak pogodny, jak dzisiejszy. Zauważysz niezawodnie, że jest istotnie zachwycającą, a patrząc na jej śliczną twarzyczkę, otoczoną aureolą bujnych, złotych włosów, na usta kraśne, niby wiśnia na wpół rozdarta, na cudne oczy, sięgające powłóczystemi spojrzeniami w głąb serca... to i ty hrabio, jako człowiek młody, zdrów i przystojny, zapałasz niezawodnie gorącą namiętnością, którą łatwo ci przyjdzie w krew jej przelać, rozbudzając dotąd uśpione zmysły dziewczęcia.

Jerzy zamyślił się, z czołem ku ziemi pochylonem.

Trucizna miłości własnej i męskiej pychy, sączona oględnie i zręcznie przez Bogajewskiego w serce młodzieńca, rozpromieniła całą jego istotę. Jak wizya, wywołana przez czarnoksiężnika, zamajaczyła nagle przed oczami duszy jego urocza postać Zosi. Uśmiechał się do niej, a uśmiech ten wyrażał pewność siebie i nadzieję tryumfu.

Mrok zapadł. Ciemno-szafirowe niebo pokryło się miryadami gwiazd. Ogród Saski dyszał wonią kwitnących drzew i kwiatów, rozesłanych w kształcie kobierców różnokolorowych na szmaragdowych trawnikach. Tysiące osób snuły się po alejach; tylko niańki z małemi dziećmi opuszczały już letni salon Warszawy.

Bogajewski spojrzał na zegarek.

— Dziewiąta. Sądzę, że czas, abyśmy się rozeszli. Jeśli hrabia masz niewzruszony zamiar udania się na wieś, musisz wrócić do siebie i wydać rozkazy kamerdynerowi, żeby rzeczy spakował do drogi...

— Myślisz o wszystkiem i zawsze masz racyę. Dziękuję ci szczerze, żeś mi przypomniał, co czynić powinienem.

— Chyba... chyba, możebyś się zdecydował pozostać ze dwa tygodnie w mieście. Mamy jeszcze bardzo interesującą seryę wyścigów...

— Och, kusicielu!

— Nie kuszę, broń Boże!... zwracam tylko uwagę, że dotąd wolno ci wybierać między Zosią... a grubą wygraną, bo, że wygrasz, ręczę.

Jerzy milczał chwilę.

— Gruba wygrana, czy piękna panna Zofia?— powtórzył pasożyt, bacznie wpatrując się w twarz młodzieńca.

— A więc... wybieram piękną pannę Zofię.

— Rozumnie! Jeśli chcesz odziedziczyć całą fortunę ciotki i stryja, jedź umizgać się do czarującej dziewczyny. A nawet ożeń się z nią czemprędzej, bo gotowa cię ubiedz w forsownym wyścigu i zagarnie należny ci majątek.

— Nie ożenię się, a ona nie zagarnie należnego mi majątku!... Bądź zdrów Bogajesiu! opuszczam cię z żalem. Proszę bardzo, dziś jeszcze staraj się dowiedzieć całej historyi o pochodzeniu Zosi.

— Możesz hrabia liczyć na mnie. A gdzie mam ci przysłać żądane informacye?

— Do Zahajec... poczta Lublin.

— Doskonale.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Opiekunka biednych dzieci: Salomea Chwatowa założycielka związku ku obronie maltretowanych dzieci.

Opiekunka biednych dzieci.

Dziecko — pozbawione rodziców i tkliwej opieki domowej, to jedna z najnieszczęśliwszych istot na ziemi. Bezdomnemi sierotami opiekuje się społeczeństwo i w dobroczynnych zakładach stara się im zastąpić rodziców. Tam, pod nadzorem hygienistów i pedagogów, rozwija dziatwa fizyczne i umysłowe siły i jako dojrzała jednostka wraca do społeczeństwa.

Gorzej jednak dzieje się z dziećmi, mającemi złych rodziców. Tu nawet dobroczynność publiczna jest bezsilną, gdyż niema żadnego tytułu do interwencyi, dziecko bowiem i los jego zawisły jest prawnie od rodziców. Rodzice, źle obchodzący się z dziećmi, są wprawdzie pociągani do odpowiedzialności sądowej, ale zaledwie w jednym wypadku na sto dochodzą do wiadomości władz podobne rzeczy. Temi najnieszczęśliwszemi dziatkami zajęła się zacna, a sama bardzo nieszczęśliwa kobieta, pani Salomea Chwatowa w Warszawie. Zawiedziona w życiu rodzinnem — całem swem gorącem, kochającem sercem przylgnęła do obcych dzieci, a zwłaszcza tych, nad któremi znęcają się rodzice. Zawiązała ona w Warszawie specyalne towarzystwo, celem opieki nad maltretowanemi dziećmi.



Seminaryum żeńskie we Lwowie: Widok zewnętrzny gmachu. (Treść na str. 9).

Towarzystwo to rozwija się świetnie i niejedno dziecko fizycznie i moralnie ocaliło przed brutalnością i złym wpływem zbrodniczych rodziców.

Pani Chwatowa położyła w tym kierunku znakomite usługi społeczeństwu, a błogosławioną swoją działalność rozwija z dniem każdym. Pani Chwatowa bierze udział w każdym kongresie towarzystw międzynarodowej opieki nad dziećmi, po za tem pracuje również na niwie literackiej, zasilając swem piórem miejscowe pisma.

W niniejszym numerze podajemy portret zasłużonej filantropki — opiekunki biednych dzieci.



Zamek królewski w Budapeszcie: Widok pałacu królewskiego od strony ogrodu.

Zamek królewski w Budapeszcie.

Jedną z najwspanialszych budowli Budapesztu, jest zamek królewski. Ten piękny pomnik budownictwa przypomniał się wszystkim obecnie w czasie pobytu cesarza na Węgrzech. Zamek, który patrzył na historyę narodu węgierskiego już przez półtora wieku, był i dziś miejscem, gdzie odbywały się narady króla z przedstawicielami narodu, gdzie miały się rozstrzygnąć losy przyszłości Węgrów.

Sytuacya polityczna na Węgrzech jest dziś taka, że z pewnością nie pomylimy się, jeśli powiemy, że zamek budapeszteński patrzył na moment najważniejszy dla narodu węgierskiego, w dziejach ostatniego stulecia.

Wspaniały, imponujący gmach, wznosi się w części miasta, zwanej „Budą". Już zdala, zbliżając się ku miastu, daje się spostrzedz na wyniosłości zamek królewski, w którym najpiękniejszą budowlą jest „pałac cesarski".

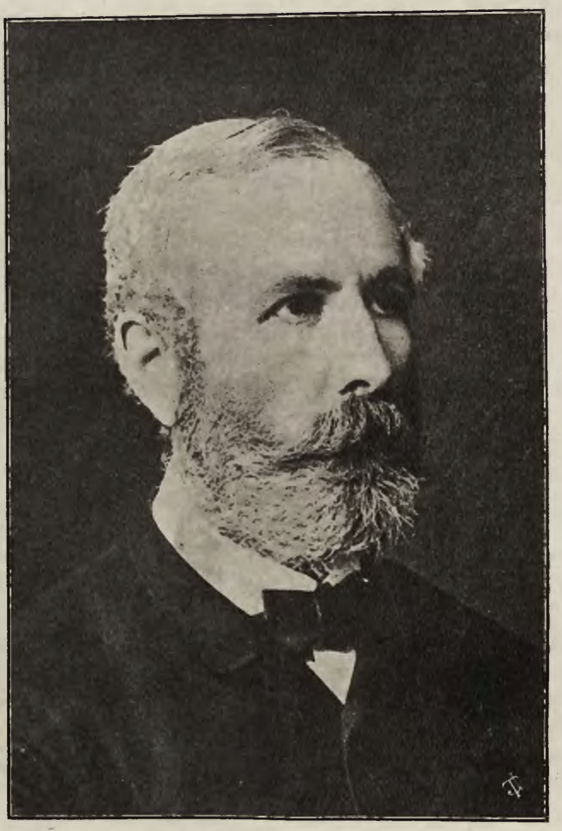
Sam zamek został wybudowany i wykończzony za rządów Maryi Teresy w r. 1771. W r. 1849 uległ on częściowemu spaleniu, ale obecnie został odnowiony, do dawnej wspaniałości przywrócony i rozszerzony. Zawiera 203 pokoi i imponującą bogactwem i pięknością ornamentyki salę tronową, w której zostaje otwartą przy obecności samego króla każdorazowa sesya sejmu węgierskiego. Tu też przechowywane są węgierskie insygnia królewskie, a między niemi korona św. Szczepana.

Z niezwykłą wspaniałością i z niezwykłym nakładem, urządzone są ogrody królewskie, ciągnące się aż ponad sam brzeg Dunaju.

Na zamku, prócz pałacu cesarskiego, zwanego powszechnie „burgiem“, znajdują się także inne zabytki budownictwa historycznego, jak np. kościół św. Mateusza, wybudowany w stylu gotyckim, a pochodzący z końca XII wieku.

Pisząc o zamku królewskim w Budapeszcie, warto wspomnieć o ustanowieniu przez cesarza nowego urzędu dworskiego na zamku węgierskim. Na wzór odpowiedniego urzędu we Wiedniu, utworzył cesarz, jako król węgierski, urząd marszałka i przy zamku budapeszteńskim.

Jest to na razie pierwsza zdobycz zjednoczonej opozycyi — która powinna być dumna z tego, że zostały spełnione już i te postulaty, których jeszcze nawet do swego programu nie wcieliła.



Zgon dyrektora miejskiego urzędu budowniczego we Lwowie: Ś. p. Juliusz Hochberger.

Zabójstwo polityczne w szpitalu.

Rozbudzone namiętności polityczne, chęć odwetu na ciemiężycielach i poczucie własnej krzywdy—są to straszni, a nie zawodzący nigdy, sprzymierzeńcy każdej rewolucyi. Rządza krwi—rządza ugaszenia zemsty, przytłumia wtedy wszystkie szlachetniejsze, wrodzone instynkta i pozwala zapomnieć o humanitarnej zasadzie, że w pewnych momentach i wroga oszczędzać należy. Do takich momentów, w których chrześcijańskie miłosierdzie powinno bezwarunkowo brać górę nad usprawiedliwionem zresztą dochodzeniem krzywd swoich, należy: oddanie się nieprzyjaciela w niewolę, co *eo ipso* według wszelkich praw ludzkich i boskich, czyni go nietykalnym, a dalej poszanowanie życia chorego, lub niezdolnego do walki.

W szpitalu na Pradze, pozostawało w leczeniu kilku stójkowych, poturbowanych podczas wybuchu w cyrkule praskim, w dniu 26 marca b. r. Byli to policyanci cyrkułu Biller, Mietliński i Sarap. Ten ostatni był tak ciężko rannym, że nawet w łóżku poruszać się nie mógł. Około godziny 7-ej wieczorem, rozległy się na sali chorych niespodziane strzały. Zaalarmowana służba szpitalna i dyżurni lekarze wpadają na salę i oto widzą, że jakiś nieznany, ubogo odziany człowiek, stoi nad łożem Sarapa i oddaje z rewolweru jeden po drugim strzały do ciężko chorego. Jak potem badanie lekarskie stwierdziło, utkwiła jedna kula w obojczyku, druga zaś zraniła chorego w bok.

Zanim obecni opamiętali się, zanim skoczyli, celem pochwycenia napastnika, znikł tenże przez okno, korzystając z braku dozoru.

Przekonano się, że sprawca dostał się z zewnątrz przez miejsca ustępowe do okna sali szpitalnej, tędy wtargnął do środka i na pierwszej spotkanej ofiarze krwawego czynu dokonał. Człowieka tego nie ujęto, policyant Sarap zaś, któremu i tak wiele od życia się nie należało — pozostaje już w stanie beznadziejnym.

Władze przestraszone i zaskoczone nowym zamachem, przed którym nawet mury szpitalne, zbirów ich, należycie nie ochraniają — zarządziły natychmiastowe przeniesienie wszystkich chorych policyantów z cywilnego szpitala praskiego—do wojskowego w Alejach Jerozolimskich.

Ze stanowiska humanitarnego, trudno pochwalić czyn zapaleńca. Na usprawiedliwienie jego znajdziemy jednak dość motywów w tej samej dzikości i krwiożerczości moskali w pastwieniu się nad bezbronnymi—jaką częściowo odpłacił się im bezimienny zamachowiec w praskim szpitalu.

Ustąpienie Pobiedonoscewa.

Prąd rewolucyjny w Rosyi wywołał pewne, drobne na razie zmiany w systemie administracyjnym państwa. Ale nietylko kulawa administra-



Zabójstwo polityczne w szpitalu: Bezimienny spiskowiec, wtargnąwszy do sali chorych, rani śmiertelnie chorego stójkowego Sarapa.



Wizyta cesarza Wilhelma w Marokko: Abdul-Asis sułtan marokański.

cya państwowa domaga się na gwałt zreformowania — zasadnicze, zastraszające braki wykazuje i system szkolnictwa — ba! nawet „święta prawosławna cerkiew“. Prąd rewolucyjno-reformatorski, dążący do przywrócenia dawnych ortodoksalnych podstaw cerkwi — ogarnął szerokie masy niższego i wyższego duchowieństwa. Postawili oni w pierwszym rzędzie szłuszne żądanie, by kościół prawosławny wyzwolić z pod opieki i przewagi władz cywilnych. Cerkiew powinna być — jak do czasów cara Piotra — soborową i narodową, duchowieństwo obieralne, a na czele cerkwi stać powinien obrany przez sobór patryarcha, odpowiadający stanowiskiem i godnością papieżowi w kościele rzymskim. Najwyższy dostojnik cerkwi, metropolita Antoniusz, przyjął nader życzliwie deputacyę popów, z odnośnemi żądaniami wysłaną, przyobiecał jak najprędzej słuszne reformy cerkiewne przeprowadzić — i zarazem znieść urząd oberprokuratora św. Synodu — urząd świecki i jako taki będący śmieszną, a zarazem smutną anomalią w duchownym ustroju wschodniego kościoła.

Jak wiadomo oberprokuratorem św. Synodu jest 78-letni przebiegły lis w ludzkiej postaci — Konstanty syn Piotra Pobiedonoscew. Najzaciekléjszy wstecznik, wróg wszystkiego, co polskie, kat, na rozkaz którego działy się bezprawia i prześladowania na Litwie i krew w Krożach się polała — doczekał się na starość gorzkich owoców swego posiewu — owoców, które obecnie sam spożywać musi. Wzgarda społeczeństwa i brutalność, z jaką w zgrzybiałej starości jako niepotrzebny grat — przez rząd został odrzucony, są słuszną nagrodą łotrowskiego jego postępowania.



Śmierć biskupa Favier w Pekinie: Biskup Favier w swym salonie (według ostatniej przed śmiercią fotografii).

Zgon dyrektora miejskiego urzędu budowniczego we Lwowie.

Dnia 5 kwietnia zmarł we Lwowie dyrektor miejskiego urzędu budowniczego ś. p. Juliusz Hochberger. Zmarły kierownik biura budowniczego położył liczne zasługi około upiększenia miasta, jako jeden z najwybitniejszych i najzdolniejszych polskich architektów.

Cały szereg budowli, największych i najpiękniejszych w mieście, powstał pod jego okiem i kierownictwem.

Jego projektu są najokazalsze gmachy we Lwowie, jak: gmach sejmowy, gmach krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń, gimnazyum Franciszka Józefa, szkoła realna, strażnica ogniowa przy placu cłowym i wiele innych.

Ś. p. Juliusz Hochberger pochodził z Poznańskiego. Urodził się w r. 1840, a studya ukończył jako stypendysta Towarzystwa przyjaciół nauk im. Marcinkowskiego w Poznaniu. Wobec tej instytucyi, której zawdzięczał swoje wykształcenie, zachował wdzięczność aż do końca życia. Oto zwrócił on nietylko cały zasiłek, jaki otrzymał z Towarzystwa podczas studyów, ale do końca życia corocznie składał datki na rzecz tego funduszu, z którego niegdyś sam otrzymywał stypendya.

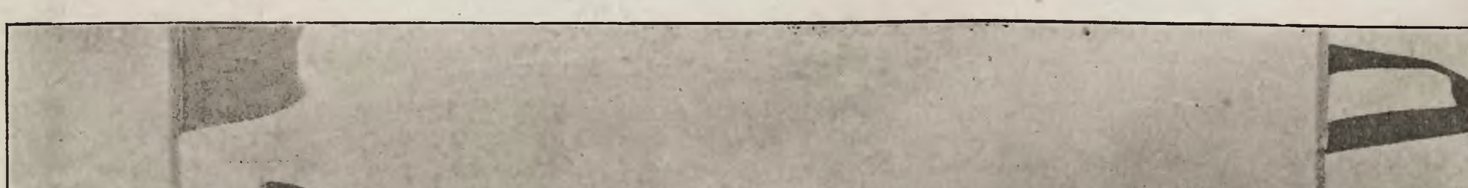
Pogrzeb ś. p. Juliusza Hochbergera odbył się kosztem miasta dnia 7 kwietnia przy współudziale licznie zgromadzonej publiczności, przedstawicieli miasta i władz krajowych. Osobiście wziął udział w pogrzebie marszałek kraju hr. St. Badeni wraz z urzędnikami Wydziału krajowego i departamentów budowniczych w namiestnictwie, a w ulicach, któremi postępował kondukt, płonęły światła w latarniach.

Śmierć Biskupa Favier w Pekinie.

Chrześcijaństwo, rozszerzając się, znalazło wielu wyznawców także w Azyi. Już w średnich wiekach misyonarze udawali się do Azyi południowej, by tam krzewić wiarę Chrystusa. Obecnie w samych Chinach wyznawcy religii katolickiej liczą parę milionów, a przed czterema laty przyszło nawet w Chinach do dość wielkich zaburzeń, zwróconych przeciw misyonarzom europejskim.

Jednym z tych, którzy w czasie zaburzeń w Pekinie w r. 1900 narażeni i wystawieni byli na najgroźniejsze niebezpieczeństwo, a równocześnie umieli zachować spokój ducha i bohaterską odwagę, był francuski biskup Favier, który przed tygodniem zmarł w swej rezydencyi w Pekinie. Liczył 67 lat i był wikarym apostolskim w Peczeli. Urodził się w Marsannay i pochodził z rodziny ubogiej. Ukończywszy seminaryum duchowne w Dijon, wstąpił do kongregacyi Lazarystów i natychmiast wyjechał do Chin na misye, gdzie przepędził 43 lata w ciągłej pracy około nawracania Chińczyków. Zostawszy w r. 1897 biskupem, nie mniej gorliwie oddawał się pracy misyjnej. Trzeba też podnieść, że jako kapłan na tak wysokiem stanowisku, nie zapominał nigdy o interesach Francyi w Chinach i wszystkimi swymi czynami stwierdzał swój prawdziwy patryotyzm. Był powszechnie szanowanym przez kolonię europejską bez jakichkolwiek różnic narodowych, czy wyznaniowych, dla swej wielkiej świątobliwości i powagi.

Tknięty paraliżem, od dłuższego czasu nie opuszczał swego łoża, na które zwaliła go choroba, a przed tygodniem śmierć przecięła pasmo dni jego świątobliwego żywota. Obok zamieszczamy dwie fotografie Faviera: jedna przedstawia go sparaliżowanego, leżącego w swym fotelu, druga zaś w salonie w jego pałacu.



Wizyta cesarza Wilhelma w Marokko: Delegacya marokkańska wprowadza Wilhelma uroczyście do Tangeru.



Śmierć biskupa Favier w Pekinie: Sparaliżowany biskup Favier przed swym domem w Pekinie.

Seminaryum żeńskie we Lwowie.

Rząd, traktujący iście po macoszemu nasz kraj i na szkolnictwo nie wiele łoży, zbywając duchowe potrzeby społeczeństwa — po największej części obietnicami. To też każdy nowo postawiony gmach szkolny tem więcej cieszyć powinien każdego Polaka, iż że rząd nie zwykł zbyt hojnie szafować tego rodzaju prezentami.

Lwów doczekał się przed kilku laty wspaniałego i wzorowo urządzonego budynku, w którym znalazło pomieszczenie żeńskie seminaryum nauczycielskie. Jest to gmach olbrzymi i pod każdym względem świetnie, luksusowo nawet urządzony.

Seminaryum stanowi: 4-klasowa szkoła ćwiczeń dla języka polskiego i ruskiego, kurs nauczycielski i ogródek froeblowski wraz z kaplicą do nabożeństw.

Dyrektorem obecnym szkoły jest znany zaszczytnie w szerokich kołach pedagog, p. Jan Woyciechowski, ogródek froeblowski zaś zostaje pod kierownictwem nauczycielki, panny Barbary Żulińskiej, zamiłowanej wychowawczyni i przyjaciółki dziatwy.

Wizyta cesarza Wilhelma w Marokku.

Sułtanat marokkański — jest jedynym jeszcze w północnej Afryce krajem niezależnym, gdzie różne prądy i wpływy państw europejskich się krzyżują, nie dopuszczając do wzmożenia się wpływu żadnego z tych mocarstw, które wyraźnie objawiają tendencyę zaokrąglenia swych dotychczasowych posiadłości w Afryce, podbiciem Marokka. Jest to kraj, stosunkowo dość wielki, z ludnością mieszaną z Arabów, Berberów, Żydów i Murzynów. W wiekach średnich posiadało Marokko potężną flotę, która złożona przeważnie z okrętów morskich rozbójników, dawała się często we znaki okrętom hiszpańskim, francuskim i angielskim. Dziś poważna niegdyś potęga Marokka znikła, a siły zbrojne lądowe nie oparłyby się stosunkowo nie wielkiej, na sposób europejski uzbrojonej i wyćwiczonej armii.

Przed niedawnym czasem przyszło do znaczniejszego zatargu między sułtanatem marokkańskim a Francyą, żądającą pewnych reform i zaprowadzenia odpowiednich urządzeń, któreby zabezpieczały spokój w tym kraju, dość burzliwym dla obcych poddanych, dla podróżnych i kupców. Wskutek oporu sułtana i nieuczynienia zadość życzeniom Francyi — minister spraw zagranicznych Delcassé wysłał tam kapitana Fournié, który miał misyę stanowczego przeprowadzenia reform, żądanych przez Francyę, a także przez Anglię, która przyłączyła się do żądań francuskich.

Niemcy obawiały się wzmożenia w Marokku wpływów Francyi i w tym celu uprojektowano wizytę cesarza Wilhelma w Tangerze, co miało stanowić manifestacyę, że Niemcy na Marokko mają bacznie zwróconą uwagę i nie pozwolą nikomu bez swej woli Marokkiem się rozporządzać. Wszystkim wiadomo, że ambitny Wilhelm nie zaniedbuje żadnej sposobności przypomnienia się Europie, a cóż dopiero zaimponowania jakiemuś tam sułtanowi marokkańskiemu.

Przyjęcie cesarza Wilhelma było wspaniałe. Tanger, do którego miał zawinąć „Hamburg“, na którego pokładzie jechał cesarz, był przystrojony czerwonemi flagami, a miasto całe przybrało szaty świąteczne. Na pełnym morzu przywitały Wilhelma barki muzułmańskie, które wyjechały naprzeciw niego z daniną, należną gościowi. Jedna z tych bark napełnioną była jajami, inna wiozła mąkę, a inna jeszcze bydło rogate; jest to tradycyjny zwyczaj muzułmański przy przyjmowaniu gościa, któremu się chce okazać szacunek. A w tym wypadku młody sułtan marokkański Abdul-Asis chciał przyjąć Wilhelma tak, by mu pokazać, że z odwiedzin jest zadowolony nietylko z osobistych pobudek, ale także z przyczyn głębszych, z przyczyn czysto politycznych. Bo nie trzeba zapominać, że Wilhelm w swej oficyalnej przemowie zaznaczył, że jest i chce być przyjacielem sułtana i że nie dopuści do wzmocnienia się wpływów obcych w Marokku, a przedewszystkiem, mówiąc to, miał na myśli Francyę.

Nad brzegiem morza oczekiwał Wilhelma cały sztab dyplomatyczny, władze marokkańskie i przedstawiciele kolonii niemieckiej. Droga wysłana była kosztownymi dywanami, świadczącymi o przepychu i bogactwie despotycznego władzcy Marokka. Następnie po przywitaniu cesarza nad brzegiem morza, ruszył wspaniały pochód, prowadzony przez delegacyę marokkańską, do miasta. Wilhelm zabawiwszy dwie godziny w Tangerze, odpłynął z powrotem na pokładzie „Hamburga“, skorzystawszy z każdej sposobności w przeciągu tych dwóch godzin, by popisać się swem gadulstwem.

Wizyta Wilhelma w Marokku miała dodać pewności młodemu, bo liczącemu zaledwie 26 lat, sułtanowi i uczynić go odporniejszym na wpływy Francyi. To jest jednak pewnem, że żądania Francyi muszą zostać spełnionemi przez sułtana, gdyż stanowczość jej żądań, popartych także przez rząd angielski, zmusi na pewno sułtana, mimo odwiedzin Wilhelma, do ustępstw.

Sułtan Abdul-Azis wstąpił na tron w r. 1894 jako szesnastoletni młodzieniec. Odznacza się on ogromnem zamiłowaniem do wszelkich sportów, a na rowerze jeździ tak, że mógłby się jazdą w cyrku popisywać. Jest on ogromnym miłośnikiem fotografii utarło się już o nim mniemanie, że do pałacu ten najprędzej i najłatwiej znajdzie dostęp, kto przyjdzie z nowym aparatem fotograficznym. Prowadzi życie, jak wszyscy jego przodkowie, próżniacze i przebywa tylko w towarzystwie kobiet.

Tryb jego życia mimo całego komfortu i przepychu dworskiego jest nadzwyczaj prosty wskutek licznych tradycyjnych zwyczajów, obowiązujących sułtana. I tak np.: nie wolno mu jeść mięsa widelcem, ale musi jeść palcami, gdyż tak każe obyczaj ojczysty. Chodzi po ulicach stolicy boso, a latem mieszka w namiotach, wysłanych kosztownemi makatami. Ilekroć wchodzi do namiotu, myje nogi w misach z wodą, a także siadając do jedzenia myje ręce, gdyż tego wymaga zwyczaj.

Zaznaczyć należy, że Abdul-Azis jest człowiekiem wykształconym i włada kilku europejskimi językami a nader chętnie przebywa w towarzystwie europejczyków, szukając w ich towarzystwie czegoś bardziej interesującego niż panowanie nad Marokkiem i swym haremem.



Wizyta cesarza Wilhelma w Marokko: Delegacya marokkańska, reprezentanci kolonii niemieckiej i świat dyplomatyczny Tangeru oczekują przyjazdu Wilhelma nad brzegiem morza.



Wizyta cesarza Wilhelma w Marokko: Wilhelm II wita się z przedstawicielem dworu sułtańskiego.

Śladami zbrodni.

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył A. S.

6 (Ciąg dalszy).

— A wasza miłość – wykrztusił Wasyl – wasza miłość, co ma w tem, żeby odszukać zaginionego?

— Ja?... ja jestem bratem zamordowanego! — odrzekł surowo przybyły.

Wiera podniosła się ze stołka, a Wasyl błędnym wzrokiem spozierał na gościa.

— Dlatego to... — zaczął i umilknął, bo chciał powiedzieć: „dlatego to takie szalone podobieństwo“. — ach! dlatego to szuka pan zamordowanego. Życzę szczęścia waszej miłości, ale wątpię, czy poszukiwania w tej okolicy przydadzą się na co. Przecież jabym już o tem coś słyszał!...

— Mniejsza o to! — rzekł chłodno gość – ja zawsze robię to, co mnie się podoba! Jutro sprowadzę sobie ludzi z wioski i każdy krzew przetrząsnę, każdą szczelinę przepatrzę!...

— Życzę szczęścia waszej miłości! — powtórzył głucho stary Lubasz, ujmując za czarkę z winem.

Ręce drżały mu jak w febrze. Nie zauważył dziwnego wzroku podróżnego, bo w myśli wirowały mu wciąż dwa słowa: „jego brat“, „jego brat“. Lubasz nie był tchórzem, ale czuł, że dłużej nie będzie w stanie zapanować nad sobą i podniósł się z ławy.

— No! czas nam spać wasza miłość! – rzekł niepewnym głosem — Wiera odprowadzi was do waszej izby.

Podróżny sięgnął do kieszeni i dobył duży worek skórzany, podobny do tych, jakich używają na tytoń, otworzył go tak, że Wasyl mógł zauważyć, ile w nim było złota i banknotów i położył na stole półimperyała.

— Wasza miłość! — szepnął starzec, któremu się oczy zaiskrzyły na widok złota — a skądże ja w w takiej nędznej chacie mogę mieć tyle pieniędzy, żeby zdać resztę?

— To weźcie całego półimperyała! — rzekł gość i podniósłszy się z ławy, zapiął futro, włożył czapkę na głowę i spoglądnął na Wierę, która tymczasem zapaliła świecę.

— Jaki to lichtarz dajesz? jaką świecę?! — burknął stary na córkę i przemieniwszy szybko świecę, dodał:

— No, prowadź gościa! czegóż stoisz, jak wmurowana?!...

Wiera wyszła z szynkowni, a podróżny postępował za nią. W korytarzyku oboje wstąpili na trzy schodki i stanęli przed drzwiami jednego jedynego gościnnego pokoju, jaki znajdował się w gospodzie. Dziewczę otworzyło drzwi i weszło pierwsze. Lichtarz z płonącą świecą postawiła na stole przy łóżku, a sama podeszła do okna, aby zapuścić firanki. W tej chwili podróżny szybko przymknął drzwi i jednym ruchem ręki zdjął swą czarną bujną brodę.

W tej chwili Wiera odwróciła się od okna i gorący rumieniec okrasił jej bladą twarzyczkę. Z piersi wyrwał się jej krótki nerwowy okrzyk zdziwienia.

Przed nią, najdalej o trzy kroki, z uśmiechem na ustach, stał Włodzimierz Bohdan — jeden z najlepszych tajnych detektywów policyi petersburskiej.

— — — — — — — — — — — — — — —

Zaledwie drzwi szynkowni zamknęły się za nieznajomym, Wasyl Lubasz zerwał się z ławy i poskoczył ku komórce, w której ukrywał się Iwan. Nie zdołał jednak jeszcze jej otworzyć, gdy parobczak kopnięciem nogi wywalił drzwi i stanął na progu.

— Wszystko słyszałem stary! — odezwał się dziko — on mówi, że jest bratem Jaroszyna, ale to nieprawda! to kłamstwo! Przypatrzyłem mu się dobrze przez szparę i przysiągłbym, że to ogar z tajnej psiarni, który węszy za nami, żeby tylko zarzucić nam stryczek na szyję, a sobie wyłowić nagrodę! Słuchaj Wasylu! Ty wiesz, ty pojmujesz, co my musimy zrobić!...

Starzec spojrzał w oczy Iwana, które lśniły, jak u wilka i chmura przysłoniła mu czoło.

— Przecież ty nie zechcesz... chyba po raz drugi nie zbroczymy krwią rąk naszych!... — szeptał z jakąś dziwną niby dziecięcą trwogą – przecież możemy się mylić... może on istotnie jest bratem tego... tego nieszczęśliwego! Jutro opuści naszą gospodę i chwilowe niebezpieczeństwo przeminie...

Dziki, szalony śmiech rozległ się w szynkowni.

— Stary, a głupi, jak stołowe nogi! — krzyknął Iwan szyderczo — mało głupi, bo i ślepy w dodatku! Czy wiesz ty Lubasz, kim jest ten człowiek?!... To ten, który w Petersburgu porwał nam Wierę!... Ryś nie ma takich oczu, jak moje. Odrazu poznałem tego łotra, któremu śmierć poprzysiągłem, jeśli mi kiedy ośmieli się wejść w drogę. Myślał, że nie poznam jego fałszywej brody, że gdy przybierze maskę zamordowanego, uda mu się nas lepiej podejść, ale przerachował się grubo pan ogar i trafił przecie na oprawców!...

— Tajny ajent! — jęknął Lubasz — nie! tego nigdy nie przypuszczałem!...

— Nie przypuszczałeś, to przypuścisz, ale wówczas, gdy cię skutego w kajdany będzie wieźć do Petersburga! Szalony byłbym, sam ukręciłbym stryczek na moją szyję, gdybym pozwolił temu człowiekowi opuścić naszą gospodę!... Mamy go w rękach i nie puścimy więcej, rozumiesz Wasyl!!...

— Gdyby to była prawda! – szepnął stary — w Petersburgu mówili ci, że on się nazywa Włodzimierz Bohdan...

— Tak! a w dodatku dowiedziałem się, że należy do składu tajnej policyi. To, o czem nie wie nawet jego matka, ja potrafiłem wydobyć na jaw! On, to nasz wróg największy i musi zginąć... Słyszysz! słyszysz! — krzyknął nagle parobczak — czy to nie Wiera krzyknęła teraz tam na górce?!... Ach dyabli! Kto wie, czy ta dziewczyna nie stoi z nim w spółce!...

— Głupiś! — mruknął Lubasz. — Kiedyżby mogli się porozumieć? Rób już, co chcesz, ale mojego dziecka nie mieszaj do niczego...

— Dobrze stary! — rzekł na to Iwan, ściskając silnie dłoń Wasyla — dobrze, ale pozwól, że ja będę mieć zawsze oczy i uszy otwarte!

Żywcem pogrzebany.

Krzyk zdziwienia, jaki mimowoli wydarł się z piersi Wiery na widok młodego człowieka, niemało przestraszył Włodzimierza. Najpierw odrazu przyszło mu na myśl, że krzyk ten może usłyszeć stary Lubasz w szynkowni, a potem był przekonany, że gdzieś tam pod schodami ukrywa się rudy Iwan, który pewnie nie miał zamiaru z nim żartować. To też młody detektyw z błagalnem spojrzeniem położył palec na ustach.

— Uspokój się pani, panno Wiero! – rzekł półgłosem — w kilku słowach wytłómaczę ci, skąd się tu wziąłem. Istotnie ciężki obowiązek sprowadził mnie tu w te strony i zabłądziłem, a że znalazłem przypadkowo dom, w którym ty masz schronienie, uważam to za cudowne zrządzenie Opatrzności, którego się nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie spodziewałem!

Młoda dziewczyna ze zdumieniem i trwogą spoglądała na Włodzimierza. Pierś dziewicza falowała jej szybko, rumieniec palił twarz, a serce biło jak młotem.

— Pan nie możesz pozostać tutaj! Pan jeszcze tej nocy musisz opuścić naszą gospodę! – wyszeptała nakoniec.

Ale detektyw potrząsnął przecząco głową.

— Nie, panno Wiero! — odpowiedział stanowczym głosem — skoro już raz tu jestem, to pozostanę. I cóż mi się stać może, skoro ty jesteś w pobliżu? Zresztą ja niebezpieczeństw się nie boję; jestem zanadto prezorny, więc nawet troszczyć się o mnie nie potrzebujesz.

Ale te słowa jeszcze bardziej zasmuciły młodą dziewczynę.

— Nie wiem z jakiego powodu narzeczony mój nie znosi pana. Gotów wpaść tutaj i mogłaby się rozegrać krwawa scena!

— I owszem! – uśmiechnął się Włodzimierz — niech tylko wpadnie, a przekona się, że trafił raz na swojego! Jedna rzecz mnie męczy, jedna rzecz spać mi nie daje od tej chwili, w której przyniosłem panią z nad brzegu Newy do naszego domku...

Młody detektyw umilkł i spojrzał bystro w oczy dziewczyny, która znów okryła się ciemnym rumieńcem.

— Powiedz mi, panno Wiero, czy ty zostaniesz żoną tego człowieka?

Twarz dziewczyny przybrała wyraz stanowczego zdecydowania.

— Nie! nigdy! — rzekła z mocą — ja zniesć nie mogę jego dotknięcia się. Widok jego doprowadza mnie do rozpaczy i raczej własnemi rękami uduszę się, a nie zostanę żoną Iwana, nawet gdyby chciał mnie wziąć gwałtem!...

— Wiero!...

Włodzimierz chciał ująć dziewczę w objęcia i przycisnąć ją do piersi, ale ona zwinnym skokiem znalazła się przy drzwiach.

— Muszę już iść, aby nie wzbudzić podejrzenia — szepnęła — światła pan nie gaś, bo gdy wszyscy w domu usną, ja przyjdę do pana. Muszę cię przecież wyprowadzić stąd i pokazać drogę do wioski, bo tu zostać nie możesz!...

— Ale dlaczego? Dlaczegóż to panno Wiero?

— Nie pytaj mnie pan! teraz nie mogę na to odpowiedzieć! Dobranoc!...

I Wiera zniknęła za drzwiami.

Młody detektyw począł przechadzać się po pokoju. Myśl jego pracowała z natężeniem.

—Hm, hm! — dumał — coś tu nie wszystko jest w porządku! Byłem o tem przekonany, gdy tylko wszedłem do szynkowni. Iwan tu jest! Widziałem go przez okno, a jednak ukrywał się. Coś mi się tu nie podoba i kto wie – kto wie, czy nie jestem teraz na tropie zbrodni!...

Z głową przepełnioną takiemi myślami, Włodzimierz podszedł ku drzwiom i zaczął oglądać zamek. Odrazu zauważył, że jedno silne uderzenie wystarczało, żeby go wyłamać, lecz wyżej trochę dostrzegł potężny rygiel, z którym złodziej miałby sporo do roboty.

Przedewszystkiem więc zasunął ten rygiel, poł czem podszedł do okna, odsłonił firankę i otworzyjedną okiennicę.

— No! – rzekł sam do siebie – w razie przypadku jest i droga do odwrotu! Ias niedaleko i nikt mnie w gąszczach nie odnajdzie!...

Wyciągnął rękę, chcąc zbadać, czy śnieg pada i uczuł, że w oknie jest gesta, silna krata.

— A do stu dyabłów! – krzyknął w duchu — więc to teraz znajduję się za kratkami, jak we więzieniu. Cóż to ma znaczyć?!...

Pochwycił kratę oboma rękami i wstrząsnął nią z całej siły, ale żelazne, silnie wmurowane pręty – nawet nie zadrżały pod naporem jego dłoni.

Włodzimierz zamknął okno i zaczął się rozglądać po pokoju.

Na brudnych, dawno już niebielonych ścianach nie było ani jednego obrazka. Pod sufitem, sklepionym z prostych belek, pająki od lat tkały już swoje sieci. Całe umeblowanie pokoju składało się z dużego łóżka, na którem leżały trzy poduszki i kilka ciepłych, wojłokowych koców i z dwóch stołków i stolika, na którym stała czarka i dzbanek napełniony wodą. W drzwiach gościnny gospodarz wbił kilka haków, które musiały zastępować wieszadła.

Na podłodze w całym pokoju była rozścielona ogromna zniszczona płachta, która zastępowała dywan.

Włodzimierz zbadał wszystko jak najdokładniej, poczem przystąpił do łóżka. Czysta świeża pościel nęciła go ku sobie, ale młody detektyw nie dał się skusić.

Jednego nie pojmował. Oto dlaczego Wiera powiedziała mu, że musi ten dom jak najprędzej opuścić? Czyżby myślała, że samotny podróżnik odważy się bez broni zapuścić w takie pustkowie? Włodzimierz miał przy sobie znakomity ośmiostrzałowy rewolwer amerykański i mógł sobie kpić z wszystkich napaści Iwana.

Wierze powiedział szczerą prawdę. W poszukiwaniach swych zapędził się w tę okolicę i nad wieczorem zabłądził. Dotarłszy do ustronnej gospody, naumyślnie przystroił się w brodę, która na pierwszy rzut oka czyniła go ogromnie podobnym do Borysa Jaroszyna. Był pewny, że mordercy zdradzą się, gdy go zobaczą. Pomieszanie starego Wasyla nie uszło jego uwagi i teraz zastanawiał się, czy Borys Jaroszyn istotnie nie wydał tutaj ostatniego tchnienia.

Ale w takim razie mordercą mógł być tylko Lubasz, lub Iwan, albo też obaj razem!

Lubasz, ojciec Wiery?

Włodzimierz wzdrygnął się na samą myśl o tem, ale równocześnie zbudziło się w nim poczucie obowiązku.

Nawet za cenę tej dziewczyny morderca nie może mu ujść bezkarnie!

— Dobrze! – powiedział mu jakiś głos wewnętrzny — ale gdzie dowody?!

— Znajdę je, choćbym miał cały ten dom przewrócić do góry nogami! — odpowiedział sobie w duchu Włodzimierz – nic mnie nie wzruszy, ani opór gospodarza, ani łzy i prośby Wiery! Póty nie ruszę się stąd — póki nie nabiorę pewności!

Młody detektyw sięgnął do kieszeni, dobył z niej rewolwer i oglądnąwszy go dokładnie, położył na stoliku obok świecy, poczem siadł na łóżku i spoglądnął na ścianę.

Nagle drgnął, zerwał się, pochwycił świecę — i wpił swój sokoli wzrok w pewien punkt ściany. Minuta za minutą mijała, a Włodzimierz wciąż wpatrywał się w ścianę. Wreszcie westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi. Wyprostował swe członki, postawił znów świecę na stole i zatarłszy skostniałe ręce, szepnął półgłosem:

— Więc nie pomyliłem się! Borys Jaroszyn był tu; na tej ścianie wyrył swe nazwisko, ale mordercy nie zauważyli tego! Tak, Borys był tutaj i tutaj rozstał się ze światem!

Dziki świst wichru zamącił ciszę. Dreszcz przeszedł Włodzimierza. Jego nerwy były jak ze stali, a jednak w takiem położeniu nigdy się jeszcze nie znajdował. Tak, tam na dole w szynkowni Lubasz i Iwan popijają wódkę i czekają, póki on nie zaśnie, a potem cichaczem, jak koty, zakradną się, wywalą drzwi i rzucą się na niego... Wasyl widział u niego pieniądze i pewnie wziął go za kupca... Złakomią się na nową zdobycz!

Z Borysem Jaroszynem musiało im pójść łatwo. Poprostu udusili go w tem łóżku podczas snu, bo Borys był przeciwnikiem, którego nie można było lekceważyć!

Twarz Włodzimierza przybrała wyraz stanowczości i energii.

— Borys nie spodziewał się niczego! – pomyślał — ale ja wiem, co mnie czeka i potrafię się obronić! Proszę, niech tylko przyjdą, ja im już przygotuję miłe przyjęcie!...

I młody detektyw podniósł się z łóżka, podszedł ku drzwiom i jeszcze raz zaczął oglądać zawiasy, zamek i rygiel.

— No! — rzekł sam do siebie, po ukończeniu tej pracy — tędy, to się już oni nigdy do mnie nie dostaną!

Zaopatrzonego w kratę okna nie brał Włodzimierz wcale w rachubę. Krata, jak się poprzednio sam przekonał, była zbyt silna i mocno wmurowana — aby złoczyńcy mogli wtargnąć przez okno. Jedna pozostawała im droga: przez sufit, lub przez podłogę...

Młody detektyw niczego nigdy nie czynił w połowie. Wziął więc świecę do ręki, wylazł na stołek i zaczął badać powałę. Po półgodzinnej takiej wędrówce po całej izbie – zniechęcony siadł na łóżku.

— I tu nic nie ma! — szepnął — dyle znakomicie przystają do siebie! żadnego znaku, żadnego śladu — nawet stare pajęczyny nie naruszone! Drzwi mogą być jednak w podłodze!...

I Włodzimierz, nie namyślając się długo, ściągnął płachtę, leżącą na podłodze, poczem zaczął ze świecą w ręku pełzać na czworakach.

Podłoga była zrobiona z nieheblowanych desek, dawno widocznie niemytych i dobrze schodzonych, bo tu i ówdzie sterczały sęki. Po chwili detektyw wstał, podszedł do łóżka i chciał usunąć je na bok. Ale łóżko, mimo silnego szarpnięcia, nawet nie drgnęło: widocznie było przyśrubowane do podłogi. Włodzimierz wlazł więc pod nie, stukał, pukał w podłogę, ale niczego nie mógł znaleźć.

— No, no, — zamruczał do siebie — żadnego wejścia niema! to ciekawe! W każdym razie nie zgaszę światła, żeby wiedzieć, co się tu będzie działo!...

W izbie było tak zimno, że Włodzimierz nie zdejmował wcale futra.

Ubrany tak, jak stał, rzucił się na łóżko i zaczął marzyć o modrookiej Wierze.

Nagle zauważył, że w pokoju jest coraz ciemniej, że świeca już dogorywa.

— Co do stu dyabłów? – pomyślał — ciekawa rzecz!

Istotnie i świeca była bardzo ciekawą. Przed chwilą jeszcze większa jej część tkwiła w lichtarzu i zdawało się, że wystarczy aż do rana, a teraz topiła się tak szybko, jak masło na patelni... Jeszcze sekunda, jeszcze błysnęła raz i drugi, jeszcze zamigotało światełko i nagle zgasła, pozostawiając dziwny jakiś swąd po sobie.

— No! to już jest ich kawał! — rzekł Włodzimierz — teraz to ja dopiero nie zasnę!...

Przekonawszy się, że rewolwer leży na stole tuż przy łóżku, detektyw znów położył się i wsparłszy głowę na ręce począł dumać. Na dworze szalała burza; poświst wichury, podobny do wycia zgłodniałych wilków, co chwila przerywał ciszę.

— Miła noc! — myślał Włodzimierz — miła noc! Sama prosi się do popełnienia zbrodni. Łotry mogliby trupa swej ofiary rzucić gdziekolwiek w lesie i śnieg zatarłby za nimi odrazu ślady — a śnieg w tych okolicach nie topnieje aż z wiosną...

Kto inny na miejscu Włodzimierza byłby z pewnością zbudził gospodarza i zażądał drugiej świecy, ale młody detektyw nie myślał tego uczynić, aby nie zbudzić czujności morderców i czekał spokojnie na to, co mu los przyniesie, zwłaszcza, że przecie Wiera obiecała mu zaglądnąć tutaj, gdy wszyscy już zasną...

Godzina może minęła od chwili, w której świeca zgasła, gdy Włodzimierz uniósł się trochę i zaczął nadsłuchiwać. Ktoś zbliżał się do jego izby.

Serce zabiło silniej w piersi detektywa.

Słyszał wyraźnie ciche stąpania. Kto to mógł być? Ach, pewnie nikt inny, tylko Wiera.

Na korytarzu znów zapanowała głucha cisza.

Po chwili dopiero ktoś zaczął po omacku szukać klamki.

Włodzimierz nie zmienił swej pozycyi, lecz nadsłuchiwał uważnie.

Ktoby to był? Wiera, albo — — mordercy!...

Naraz rozległo się ciche pukanie.

— Aha! — pomyślał detektyw — chcą się przekonać, czy ja już dobrze zasnąłem! No, niechże się wam tak zdaje panowie!...

I nic nie odpowiedział.



...i za nim jeszcze zdołał zebrać myśli, uczuł, że wpada w przepaść.

Pukanie po chwili znów się odezwało, ale cokolwiek silniejsze.

A może to Wiera? Jej trzeba przecie otworzyć! I Włodzimierz już chciał podnieść się z łóżka, aby podejść ku drzwiom i zapytać, kto to taki, gdy dosłyszał chrapliwe mruczenie. Dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. To nie była Wiera!... Głos ten poznał odrazu. To Iwan stał pod drzwiami!..

Włodzimierz pytał się w duchu, co to dalej będzie i naturalnie nie odpowiadał na pytanie.

A tymczasem Iwan zaczął z całych sił walić w drzwi kułakami.

Widocznie obrał inną jakąś taktykę.

— Poczekajno mój ptaszku! – szepnął Włodzimierz i wziął do ręki rewolwer.

— Wstawajcie wasza miłość, wstawajcie! — wołał chrapliwym głosem Iwan — stało się coś bardzo ważnego!...

— Trzeba to już raz skończyć! — rzekł detektyw i postanowił drzwi otworzyć.

Czy Iwan był sam, czy w towarzystwie starego Lubasza, to go bynajmniej nie obchodziło. Strzelał bardzo celnie i drogo postanowił sprzedać swe życie. Oboma nogami skoczył więc z łóżka i...

Wtedy stało się coś niespodziewanego.

Nogi jego wsunęły się w próżnię i zanim jeszcze zdołał zebrać myśli, uczuł, że wpada w przepaść...

Straszny krzyk bezsilnej rozpaczy rozdarł powietrze!

Padając, uderzył głową o jakiś mur. Pociemniało mu w oczach i stracił przytomność...

Nastała cisza, straszna cisza...

Śmiertelny pościg.

Wiera, odprowadziwszy Włodzimierza, cała drżąca, pełna jaknajgorszych przeczuć, zbiegła do szynkowni.

Stary Lubasz siedział za stołem, na którym stał już cały szereg butelek i co chwila zaglądał do szklanicy. Gdy dziewczę weszło do izby, spojrzał na nie badawczo i spytał surowym głosem:

— Cóż? odprowadziłaś już gościa do pokoju?

— Tak, ojcze! — odpowiedziała Wiera bezdźwięcznym głosem.

— A cóż za krzyk słyszałem tam przed chwilą? Zdaje mi się, że to ty tak krzyknęłaś?

— Krzyk? – powtórzyła blednąc dziewczyna – ja nie krzyczałam i nie słyszałam nic wcale!

— Być może! Ale ja słyszałem! — odparł twardo Wasyl.

Wiera wzruszyła ramionami i bez trwogi spojrzała w oczy starego.

— Musiałeś się przesłyszeć ojcze! Późno już jest i pewnie zdrzemnąłeś się, przyczem miałeś taki dziwny sen. Ale i mnie czas pójść na spoczynek. Dobranoc!...

Lubasz nie zatrzymywał wcale córki, ale zwrócił na to uwagę, że wyszła, nie podawszy mu ręki, jak zwykle.

Tymczasem Wiera w swoim pokoiku siadła na łóżku i zakrywszy twarz rączkami, płakała jak małe dziecko.

— On tu jest w naszym domu, a oni, przeczuwają w nim wroga, myślą tylko, jakby się go najprędzej pozbyć i na zawsze zmusić do milczenia. Mój ojciec i Iwan ubroczyli już w krwi swoje ręce, a dziś znów chcieliby popełnić zbrodnię. Lecz póki mi jeszcze tchu stanie, póki nogi mnie noszą, to im się nie uda!...

I wstawszy z łóżka, wyjrzała przez okno.

Wprawdzie zamieć nie ustawała, ale Włodzimierz musi jeszcze tej nocy opuścić gospodę. Wiera, powziąwszy stałe postanowienie wyratowania młodego detektywa, zgasiła lampę i stanąwszy pod drzwiami, zaczęła nadsłuchiwać.

Minuta mijała za minutą a ona nie ruszała się z swego posterunku. Wreszcie po kwadransie usłyszała jakieś ciężkie kroki na schodach. Ktoś zbliżał się ostrożnie do drzwi jej pokoiku. Niebawem Wiera uczuła prawie ciężki oddech Iwana.

Parobek stał pod drzwiami i nadsłuchiwał... Po dziesięciu minutach schody znów zaskrzypiały. Widocznie Iwan był pewny, że Wiera śpi już oddawna...

Ciąg dalszy nastąpi.



Policyjna organizacya warszawska: Stójkowy w zimowym mundurze.



Policyjna organizacya warszawska: Stójkowy w letnim mundurze.

Policyjna organizacya warszawska.

Królestwo Polskie traktowane jest przez rząd cara, jako kraj „zabrany“, kraj ciągłych knowań i spisków politycznych, uważane za niebezpieczne i niepewne kresy, dla których muszą być stosowane stale najsurowsze środki represyjne. Zarząd i organizacya administracyjna Królestwa, spoczywa w ręku wojskowości — a policya i żandarmerya w żadnej prowincyi cesarstwa nie ma tak stanowczego i decydującego głosu, nawet w sprawach największej wagi — co właśnie w nieszczęsnym „Kraju Przywiślańskim“, jak Królestwo Polskie w ostatnich dziesiątkach lat urzędownie przemianowano. Ciekawej, a jedynej w swoim rodzaju organizacyi służby policyjnej w Warszawie, chcemy dziś kilka słów poświęcić. Otóż całe miasto podzielone jest terytoryalnie na kilkanaście obwodów, urzędownie „cyrkułami“ lub „uczastkami“ zwanych. Na czele cyrkułu stoi komisarz czyli pristaw, mający przy boku swoim zazwyczaj dwóch pomocników. Kancelaryę cyrkułową składają cywilni urzędnicy, rekrutujący się z najgorszych wybiórków i szumowin społecznych, częściowo importowanych z głębi Rosyi, częściowo zaś pochodzących z miejscowej, najniższych warstw ludności. Pristawowi cyrkułowemu podlegają naczelnicy mniejszych obwodów t. zw. „rewirów“. Pristaw, jego pomocnicy, rewirowi i policyanci, czyli „stójkowi“, są to wszystko wojskowi rozmaitych rang i stopni—i w ich ręku spoczywa właściwa władza; kancelarya cyrkułu bowiem, złożona z cywilnych urzędników, zajętą jest wyłącznie manipulacyjnemi czynnościami i zupełnie podporządkowaną wojskowej swej zwierzchności.

Nie na tem jednak kończy się policyjna rosyjska organizacya. Zarząd administracyjny stworzył jeszcze szczególniejszą, pomocniczą instytucyę: stróżów kamienic, t. zw. „dworników“. Dwornik taki pełni prócz zwykłych, stróżowskich obowiązków, jak utrzymanie czystości w domu i na ulicy — także jeszcze funkcyę urzędowego szpiega i donosiciela policyjnego. Stróż kamieniczny obowiązany jest nietylko osobiście znać „swoich lokatorów“, ale wiedzieć dokładnie, czem się trudnią, gdzie bywają, kogo przyjmują, nieledwie znać ich myśli. Dostrzegłszy cokolwiek podejrzanego—musi dwornik w tej chwili spostrzeżeń swych udzielić cyrkułowi. Stróże kamieniczni otrzymują w miarę swych „uzdolnień i gorliwości“ sute remuneracye z policyi, a nawet ich ubranie ujednostajnione jest pewnym rodzajem munduru. Mundur ich składa się z czapki z daszkiem, opatrzonej napisem urzędowym, niebieskiej, długiej bluzy i białego fartucha. W zimie ubiera na siebie „dwornik“ długi kożuch. Od zmierzchu, aż do zamknięcia bramy, zimą i latem, wysiaduje dwornik przed bramą swego domu i jest upoważniony każdego podejrzanego zatrzymać, badać, a nawet na własną rękę zaaresztować i odprowadzić do aresztu. W razie zaburzeń lub ruchawek ulicznych, wychodzą stróże na ulicę i z kijami w ręku pilnują porządku. Często zastępują także chwilowo miejsce posterunków policyjnych. Przełożonym stróża w kamienicy jest również pół-urzędowa, policyjna figura „rządca“, obowiązany do informowania władz policyjnych o sprawowaniu się lokatorów.

W numerze niniejszym podajemy podobiznę policyanta (stójkowego) — w jego mundurze letnim i zimowym. W lecie noszą stójkowi długie, płócienne szare kitle, obciśnięte skórzanym pasem, u którego wisi w futerale rewolwer. Pałasz przewieszony mają na mundurze z prawego na lewe ramię. W zimie wdziewa stójkowy długi kożuch i zimową czapkę. Broń jednak ma zawsze na wierzchu munduru.



Afera hr. Montignoso: Księżna Ludwika, była następczyni tronu saskiego, według najnowszej fotografii.

Afera hr. Montignoso.

Przeszłość księżnej Ludwiki, smutna i nadzwyczaj przykra, zmusiła ją do zmienienia swego oficyalnego nazwiska i do występowania obecnie pod nazwiskiem hrabiny Montignoso. Afera byłej następczyni tronu saskiego została obecnie wyjaśniona i okazały się w całej pełni wszystkie intrygi dworu saskiego, który wziął sobie za zadanie prześladować nieszczęśliwą ofiarę swych intryg wszędzie, gdzie tylko się da.

Cała afera księżnej Ludwiki tak się przedstawia wedle wiadomości, podawanych przez źródła urzędowe dworu saskiego: Hrabia Carlo Guicciardini utrzymywał od dłuższego czasu stosunek z księżną Ludwiką, następczynią tronu saskiego. To spowodowało wydalenie księżnej z Drezna i niedopuszczenie jej do dzieci, gdy w grudniu zjawiła się przed bramami pałacu drezdeńskiego. Księżna wraz z rzekomym swym kochankiem udała się do Florencyi i tu zamieszkała w swej willi „Papiniano.“ Dwór saski szpiegował jednak księżnę i we Florencyi, a czynnemi w tem były ciotka Ludwiki, księżna Ysenburg i bona małej księżniczki.

Zaznaczyć musimy, że źródła nieurzędowe donoszą, że stosunek księżnej z hr. Guicciardinim był zupełnie niewinnym, a cała afera księżnej polegała na intrygach dworu i bony. Dwór saski postanowił pozbawić ją jedynej pociechy, jaka jej pozostała jeszcze i zabrać jej za wszelką cenę córeczkę, księżniczkę Annę Monikę.

Tajna policya i agenci, wysłani z Drezna do Florencyi, szpiegowali księżnę na każdym kroku, a bezczelność w napastowaniu jej doszła do tego, że pewnego razu obstawili willę „Papiniano“ wojskiem, aż księżna musiała wezwać pomocy adwokata, który ją uwolnił od czyhających i prześladujących ją agentów dworu saskiego.

Wkrótce przyjechał do Florencyi radca Körner, który zachowaniem się swojem wobec księżnej wywołał powszechne oburzenie. Chciał on wprost przemocą zabrać matce jej dziecko, a w rozmowie z nią zachowywał się tak brutalnie i ordynarnie,



Afera hr. Montignoso: Willa „Papiniano“ we Florencyi, w której mieszkała poprzednio księżna Ludwika.

że nawet konsul niemiecki, obecny przy tej rozmowie Körnera z księżną, czuł się w obowiązku zwrócić zapalczywemu radcy uwagę, by nie obrażał w księżnej godności kobiecej.

Cała prasa uczciwa stanęła po stronie księżnej, a hr. Guicciardini i rodzice księżnej Ludwiki postanowili sądownie domagać się satysfakcyi od dworu saskiego, który podeptał wszystkie prawa ludzkie i znęcał się nad nieszczęśliwą ofiarą swych intryg.

Saksończycy niedwuznacznie zamanifestowali swe sympatye dla księżnej, a świadczą o tem ich składki na rzecz księżnej, której dwór saski pozbawił należnej jej pensyi.

Księżna, jak już pisaliśmy w poprzednim numerze, ofiarowanych jej pieniędzy nie przyjęła i aby ograniczyć do minimum swe potrzeby, przeniosła się ze swej willi „Papiniano“, której utrzymanie kosztowało dość drogo, do hotelu „Aurore“ we Fiesole i tam zamieszkała skromnie w kilku zaledwie pokojach.

Zamach dynamitowy w Łodzi.

W rewolucyjnym koncercie, którym rozbrzmiewa Królestwo i Carstwo—zabrała poważny głos—Łódź obecnie. Wykonano tam przed kilku dniami śmiertelny zamach na pomocnika policmajstra, komisarza policyi Szatałowicza, zamach wykonany według wszelkich zasad i reguł „propagandy czynu“, a wzorowany na attentacie, którego ofiarą padł Nolken w Warszawie.

Zarówno w warszawskim, jak łódzkim zamachu, rozchodziło się przedewszystkiem rewolucyonistom o wywabienie z domu upatrzonej ofiary i zmuszenie jej do przebycia tej drogi, na której oczekiwali go spiskowcy.

Otóż i Szatałowicz wezwany został podstępnie w dniu 1 kwietnia b. r. — rzekomo w służbowym interesie do biura policmajstra m. Łodzi, odległego o kilkaset kroków od jego cyrkułu. Droga jego prowadziła ul. Konstantynowską i na tym szlaku dosięgnął go srogi wyrok spiskowców. Sza-



Ustąpienie Pobiedonoscewa: Obalony przez duchowieństwo prawosławne oberprokurator św. Synodu, Konstanty Pobiedonoscew. (Treść na str. 7).

tałowicz szedł piechotą, gdy właśnie na rogu ul. Długiej i Konstantynowskiej zbliżył się do niego ubogo ubrany człowiek i błyskawicznym ruchem wydobył okrągły jakiś przedmiot z koszyka i rzucił go pod nogi komisarza. Nastąpiła przeraźliwa detonacya, której huk słyszano w całem mieście, we wszystkich domach tej ulicy powylatywały szyby, a wskutek szalonego wstrząśnięcia, mieszkańcy tych domów pospadali z krzeseł. Komisarz z strasznym jękiem—krwią zalany — zwalił się na ziemię. Bomba urwała mu obiedwie nogi i śmiertelnie zraniła w piersi. Wybuch zrobił w chodniku wyrwę na 2 stopy głębokości i 12 stóp obwodu i nie ograniczył się li tylko na upatrzonej ofiarze—Szatałowiczu. Siłą wybuchu powalone zostały dwie przechodzące ulicą robotnice, nie doznały jednak żadnych cięższych obrażeń. Wykonawca zamachu—widząc dyszącego jeszcze Szatałowicza, chciał jeszcze wypalić doń w rewolweru—w tej chwili jednak stójkowy, idący o kilka kroków za komisarzem, a który dziwnym jakimś trafem ocalał — rzucił się z wyciągniętym pałaszem na zabójcę i jednem silnem cięciem rozpłatał mu głowę. Śmiertelnie ranionego, opatrzyło pogotowie ratunkowe. Przewieziony pod eskortą do szpitala, skonał, nie odzyskawszy przytomności, w tym samym dniu i o tej samej godzinie prawie, co i ofiara jego zamachu—komisarz Szatałowicz. Policya bezpośrednio po wybuchu straciła zupełnie głowę. Popłoch i panika ogarnęła carskich zbirów, którzy jak błędni plątali się kilka godzin po mieście, okrążając przezornie widownię krwawego zajścia. Ostrożnym nad miarę i potrzebę okazał się nawet sam policmajster m. Łodzi, który zamiast sam osobiście dokonać oględzin katastrofy—wolał przysłać swojego pomocnika.

Zgładzony ze świata komisarz Szatałowicz, był jedną z najbardziej znienawidzonych, rządowych figur. On to, podczas grudniowych demonstracyj łódzkich, własnoręcznie zastrzelił niosącego czerwony sztandar, kazał następnie morderczy ogień całej roty skierować w bezbronny tłum robotniczy. On wreszcie kazał bić i maltretować więzionych po cyrkułach ludzi.

Krwawa ta karyera zgotowała mu też i krwawy koniec żywota.



Zamach dynamitowy w Łodzi: Stójkowy powala cięciem pałasza w głowę, sprawcę zamachu na komisarza Szatałowicza.



ANNA ZIELIŃSKA. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

ZE ŚWIATA.

(Psy na usługach policyi. — Sprawozdanie policyi w Brunszwiku. — Katastrofa w Indyach. — Cudowne ocalenie żony wicekróla indyjskiego. — Wybryki kwietniowe. — Zaburzenia małżeńskie. — Towarzystwo „separowanych“ małżonków — Z deszczu pod rynnę).

Wszelakiego rodzaju zbrodniarze rozmyślają ciągle nad tem, ażeby policyę wywieść w pole — nawzajem zaś policya i w obronnej i zaczepnej walce do coraz nowych ucieka się pomysłów.

W niektórych miastach niemieckich zaczęła policya do służby bezpieczeństwa używać psów, osobno tresowanych, które jej rzeczywiście oddały niejedną ważną usługę. Policya miasta Brunszwiku w sprawozdaniu urzędowem podnosi, że psy, używane przez nią do służby nocnej, stały się pożytecznymi pomocnikami, tropiąc złoczyńców i pełniąc służbę bezpieczeństwa na zagrożonych placówkach podmiejskich. Niedawno otrzymywała policya brunszwicka co miesiąc 14 do 20 doniesień o znaczniejszych kradzieżach nocnych, obecnie liczba takich doniesień bardzo znacznie się zmniejszyła, a są nawet miesiące zupełnie od nich wolne. Również walki z policyantami, dzięki psom, stały się rzadszemi. Rzezimieszki mają respekt przed kłami zwierząt.

Przechodząc do konkretnych wypadków, sprawozdanie stwierdza, że pies *Harras* wyśledził, kierując się powonieniem, robotnika Duwego, który pod Königslutter zamordował uczennicę Bebenroth. Innym razem puścił się w pogoń za uciekającym złodziejem, dopadł go i rzuciwszy się na niego, trzymał go tak długo, aż nadbiegł policyant, który uwięził schwytanego ptaszka. W ciągu roku *Harras* odkrył w ogrodach publicznych, w ruderach i budujących się dopiero domach, 21 podejrzanych indywiduów, za którémi policya czyniła daremne poszukiwania.

W listopadzie ubiegłego roku, na żądanie sądu karnego w Giessen, wysłano z Brunszwiku do miasta Heldenbergen dwa psy policyjne, *Maksa* i *Harrasa*, celem odkrycia mordercy proboszcza Thoebesa. Psy zatrzymywały wszystkie osoby, które stykały się z zamordowanym proboszczem, a zwłaszcza rzucały się czterokrotnie na pewnego robotnika, podejrzanego o tę zbrodnię. Pomoc psów tym razem nie przyniosła dodatniego skutku z tego powodu, że upłynęło kilka dni od popełnienia zbrodni — a gwałtowna ulewa spłukała i zatarła ślady, dostępne dla powonienia zwierząt.

Pies *Cezar* wykrył 8 podejrzanych osób, które w ogrodach publicznych chroniły się przed okiem policyi, a do spółki z *Harrasem* odkrył ślady pewnej kobiety, która utopiła się w rzece Okar. Kobieta owa zginęła bez śladu i policya czyniła przez dłuższy czas daremne poszukiwania za nią. Psy śladem jej doszły do rzeki, z której rzeczywiście wyłowiono zwłoki. W brunszwickiem więzieniu policyjnem zaalarmował *Cezar* straż, gdy pewien więzień próbował wyłamać kratę w oknie i uciec. Na niebezpiecznych posterunkach podmiejskich psy oddają stójkowym nieocenione usługi, broniąc ich przed niespodziewanemi napadami i ostrzegając o zbliżaniu się każdego przechodnia. Może kiedyś każda policya będzie miała psy odpowiednio tresowane do służby bezpieczeństwa.

Przenieśmy się daleko, na wschód, do Indyj — a mianowicie do krainy, zwanej Pendżab. Niedawno srożyła się tam dżuma, a teraz nawiedziło ją trzęsienie ziemi. Z powodu przerwania połączeń telegraficznych niema stamtąd obszernych sprawozdań, ale już te wiadomości, które dotąd nadeszły do Londynu, świadczą o wielkich rozmiarach katastrofy. Miasto Lahore ucierpiało znacznie. Dworzec kolei, zbudowany jak forteca, runął, a podobny los spotkał znaczną liczbę innych budynków publicznych. Dzielnica europejska, w której domy są odpowiednio zbudowane, ostała się, natomiast w dzielnicach tubylców katastrofa pozbawiła życia bardzo znaczną liczbę mieszkańców, którzy znaleźli grób w gruzach zawalonych domów.

Najsilniej dotkniętem zostało miasto Darmsala, które zostało prawie doszczętnie zniszczone. W gruzach zawalonych koszar znalazło śmierć 470 żołnierzy pieszego pułku tubylców, a przeważna część mieszkańców równie w ten sposób zginęła. W mieście Simla żona wicekróla Curzona uszła śmierci, jakby cudownym zrządzeniem. Potężny komin runął, dach zawalił się pod ciężarem gruzów, które przebiły sufit i wpadły do sypialni wicekrólowej. Na szczęście i gruzy komina i resztki dachu i sufitu, zasypując sypialnię, ominęły łóżko wicekrólowej. Skończyło się tylko na strachu.

Od ogniska w Pendżabie wstrząśnienia silniejsze lub słabsze sięgały bardzo daleko, a równocześnie nastąpiły zaburzenia atmosferyczne. Meteorologowie twierdzą, że nagłe oziębienie się temperatury w Europie jest skutkiem trzęsienia ziemi w Indyach.

Czy tak jest, nie naszą rzeczą twierdzić lub przeczyć, notujemy tylko to zdanie meteorologów. A zimno daje się we znaki całej Europie. W marcu mieliśmy stosunkowo ciepłą temperaturę, która nawet o półtora stopnia podniosła się ponad przeciętnie normalne. Nagle kwiecień postanowił wypłatać nam figla i zaczął prószyć śniegiem, a nawet postarał się o lód. Ze wszystkich stron Europy nadchodzą wiadomości o zawiejach śnieżnych. Nie przeszkadza to wcale, że w niektórych miejscowościach Galicyi, jak np. w Ławocznem, były burze z grzmotami i piorunami. Czyżby i ten rok, wzorem poprzedniego, miał należeć do wyjątkowych?

Od katastrof i zaburzeń w przyrodzie, przerzućmy się do zaburzeń społecznych — a mianowicie małżeńskich. Och! te zaburzenia bywają bardzo dotkliwe i kończą się często... separacyą.

W Austryi otrzymanie rozwodu jest niemożliwem dla zwykłych śmiertelników, jeżeli więc małżonkowie nie mogą dłużej wytrzymać piekła domowego, naówczas starają się o separacyę, albo też bez sądu dobrowolnie się rozchodzą.

Takich małżeństw niedobranych jest znaczna liczba, a ponieważ wiek nasz pomiędzy innymi tytułami, posiada również tytuł wieku stowarzyszeń, więc w Wiedniu w ubiegłym roku powstało Towarzystwo separowanych małżonków katolickiego wyznania. Na ostatniem posiedzeniu miesięcznem zawiadomił prezes Towarzystwa zgromadzonych, że liczy ono już 1400 członków, którzy mieszkają w rozmaitych miastach Austryi. Zgromadzeni w Wiedniu członkowie podnieśli znowu konieczność propagandy, ażeby w Austryi, podobnie jak we Francyi, zaprowadzono rozwód, na mocy którego małżonkowie po rozejściu się, mogliby zawrzeć ponownie związki małżeńskie.

Jest to głównym celem tego stowarzyszenia. Powiadają, że kto się poparzy, ten później i na zimno dmucha. Licha tam! Oto ludzie, uwolnieni z piekła domowego, znowu do niego tęsknią. Z deszczu pod rynnę.

N..e.

Anna Zielińska.

Świeżutki, najmłodszy kwiatek, w naszym ogrodzie teatralnym... i to kwiatek bardzo sympatyczny... Nawet nie kwiatek jeszcze, ale pączek... Już rozkwita... i jest nadzieja, że rozwinie się wcale ładnie...

Naturalnie, że naiwna... Naturalnie—na scenie... A może i poza sceną... Brak mi pod tym względem bliższych informacyj... Biorę więc mój czerwony notesik i dzięki interwencyi nieocenionego pana Pichora, otrzymuję pozwolenie wtargnięcia do garderoby. Pukam... — Proszę — dzwoni milutki głosik. Panna Zielińska, ubrana rozkosznie, za kilka minut pójdzie na scenę, jako Rachela w dramacie: „Ponad siły“. Przedstawiam się i podaję cel mojej wizyty, przepraszając, że wlazłem tu, jak intruz i tłómacząc, że stało się to z konieczności, z braku innej sposobności i czasu, bo „sylwetka musi być jutro w Krakowie“.

— Ależ to nic nie szkodzi, mam jeszcze dużo czasu, a moja garderobiana kończy właśnie...

— Co tu jeszcze kończyć, kiedy obrazek już tak skończenie piękny...

Panna Zielińska rumieni się wcale *correct* i bez wysiłku, a garderobiana pilnie zajęta owem wykończeniem, uśmiecha się...

— Proszę pana usiąść...

Rozglądam się, wszystkie trzy krzesła założone garderobą... Nie szkodzi... Warto stać, patrzeć i słuchać... A więc

— Czytuje pani „Nowości illustrowane“ i drukujące się tam sylwetki teatralne?

— I owszem, czytam, znam...

— Otóż, chcieliśmy najbliższy nasz numer ozdobić podobizną pani i kilka słów napisać...

— A... tak, proszę... więc...

— Więc chodzi mi o bliższe szczegóły karyery scenicznej...

— Byłam przedtem w Krakowie... Od dwóch lat jestem na scenie... od jesieni jestem we Lwowie...

Panna Zielińska uśmiecha się przytem tak słodziutko, że drugi raz nie odważyłbym się chodzić na interwiew do.. naiwnych. No, bo ten uśmiech...

— A czy chciałaby pani, by wymienić jakie role?

— No... (znów ten sam uśmiech) tak, role liryczno-naiwne i naiwne z odcieniem charakterystycznym...

— To bardzo pięknie... te zdają się bardzo stosowne... zapamiętałem sobie panią nawet, jako niezrównaną Cesię „W sieci“.

— O... (rumieniec).

— A inne role?

— No.. Helenka w „Szczęściu w zakątku“, Rachela w „Ponad siły“.

Tu wmieszała się garderobiana.

— A ta... ta... proszę panienki z „Zaczarowanego koła...“

— A... aha... Wojewodzianka... a dalej, Joasia w „Medorze“ i w „Legendzie“ rusałka.

— Ot, to najodpowiedniejsze.

— Jeszcze są inne — wtrąciła znów garderobiana, wyciągając z poza lustra plik ról — a prócz tego z Krakowa...

— Ależ dziekuję, dziekuję, już wystarczy — a co się tyczy fotografii, to wysłałem to zdjęcie w szerokim kapelusz...

— A... jako wojewodzianka, to dobrze...

— To wojewodzianka nosiła takie modne kapelusze, bo ja myślałem...

— A tak, tak, to z „Zaczarowanego koła“, dobre zdjęcie..

— No, bo przed aparatem fotograficznym siedziała taka wojewodzianka...

Znów uśmiech (jak wyżej), podziękowanie, przeproszenie, pożegnanie i jest interwiew zamiast sylwetki. Opuszczając garderobę pomyślałem, że panna Jankowska ma teraz niebezpieczną rywalkę. Tylko, że są różne gusta... Panna Jankowska jest przystojną brunetką, a panna Zielińska bardzo piękną blondyną. Tak mi Panie Boże dopomóż...

Klewe.



Z wojny ros.-jap.: Krążownik „Nachimow“, wchodzący w skład eskadry Rożdiestwieńskiego.



Z wojny ros.-jap.: Admirał eskadry bałtyckiej Rożdiestwieński.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Tamtegoroczna kampania morska skończyła się zupełną klęską Rosyi, w której cała eskadra Oceanu Spokojnego uległa zupełnemu zniszczeniu. Japonia dokonała tego ważnego dzieła ze stratą tylko jednego wielkiego pancernika „Hatsuse“. Ale mimo straty całej potężnej floty na wodach wschodnich, Rosya nie pogodziła się ze swym losem i postanowiła ze starych i nowo-wybudowanych okrętów skompletować nową flotę i wysłać ją na Wschód, by raz jeszcze spróbować szczęścia.

Kampania morska tegoroczna, której przyszłym bohaterem ma być Rożdiestwieński, nie ma żadnych szans powodzenia, jak to już pisaliśmy w poprzednich numerach i wszystko składa się na to, że Ocean Indyjski będzie grobem dla eskadry bałtyckiej.

Eskadra Rożdiestwieńskiego sposobi się już od roku do walki z flotą japońską i coraz to nowe z archiwum wydobyte okręta, najstarszej konstrukcyi, gromadzą się na Oceanie Indyjskim.

Przyjrzyjmy się bliżej składowi eskadry rosyjskiej, znajdującej się obecnie przy małej wysepce Nossi-Be, koło Madagaskaru. Admirał Rożdiestwieński posiada pod swą komendą pięć olbrzymich pancerników najnowszej konstrukcyi, z których każdy ma po 13.516 ton i z których każdy uzbrojony jest czterema ogromnemi, 12-calowemi armatami, a nadto dwunastoma działami 6-calowemi. Oprócz tego posiada on do swego rozporządzenia trzy maleńkie pancerniki, typu obrony brzegowej i trzy stare krążowniki pancerne.

Oprócz wyżej wymienionych — mają jeszcze z Kronsztadu wypłynąć trzy okręty wielkiej stosunkowo pojemności i w ten sposób pancerne okręta bojowe admirała Rożdiestwieńskiego dosięgną liczby 16, lecz z nich tylko sześć będzie należało do typu najnowszego. Reszta, to okręty starszej konstrukcyi, mogące jednak oddać jakie takie usługi jako okręty drugorzędne. Załączamy obok fotografie wielkich pancerników: „Borodino“ i „Suwarów“ i krążowników: „Nachimow“ i „Mikołaj I“.

Admirał Rożdiestwieński liczy w swej wyprawie na pomoc tych okrętów, które znajdują się we Władywostoku pod flagą admirała Jessena. Są tam dwa wielkie krążowniki pancerne: „Rossia“ i „Gromoboj“, oraz lekki krążownik niepancerny „Bogatyr“ — ale wszystkie, zdaje się, zawiodą nadzieje w nich pokładane, gdyż dotychczas nie zostały naprawione po uszkodzeniach, jakie odniosły jeszcze w zeszłym roku.

Ważną rzeczą, której pominąć nie można, jest ta okoliczność, że flota torpedowców admirała Rożdiestwieńskiego składa się tylko z 12 kontrtorpedowców.

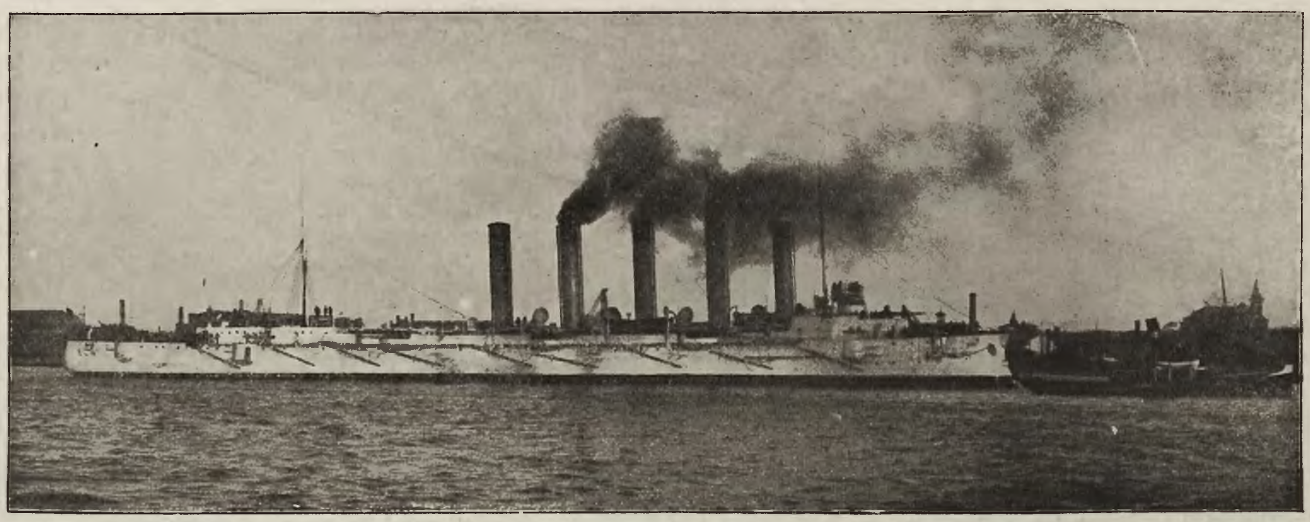
Żeby porównać rosyjską flotę torpedowców z flotą japońską, wystarczy, jeśli powiemy, że admirał Kamimura rozporządza 70 torpedowcami i 20 kontrtorpedowcami, to zn. taką wielką siłą, że eskadra rosyjska przy najbliższem spotkaniu skazana jest z góry na zupełną zagładę.

A flota japońska, złożona z olbrzymich pancerników i krążowników pancernych, przewyższających tak co do konstrukcyi, jak i co do pojemności okręty rosyjskie, opatrzona w wybornie i silnie uzbrojone krążowniki lżejszego typu — może się mierzyć z flotą nawet silniejszą od siebie, bo zwycięstwo nad przeciwnikiem zapewni im szalone męstwo i bohaterska odwaga japońskich marynarzy.

Że te smutne horoskopy, stawiane przez nas eskadrze Rożdiestwieńskiego, mają uzasadnienie, przypomnimy Czytelnikom treść korespondencyi, jaką otrzymało jedno z lwowskich pism od pewnego z oficerów eskadry. Według relacyi tego oficera, niema żołnierza, wchodzącego w skład eskadry, któryby się łudził co do opłakanego stanu eskadry i nie pragnął jak najrychlejszego powrotu. Od dłuższego czasu stoją oni na wodach indyjskich, w obrzydliwych warunkach klimatycznych, wystawieni na ciągłą nudę i odcięci zupełnie od świata, pozbawieni wszelkich wiadomości, tak z Europy, jak i z Rosyi, co wszystko zniechęciło zupełnie nawet sam korpus oficerski. Załogi zaś są zdemoralizowane do tego stopnia, że tylko dzięki nader ostrym środkom, można ten burzliwy i niesforny element utrzymać w karności i posłuszeństwie! Wiedzą z nich wszyscy, że nie mają po co płynąć na wody wschodnie, skoro Port Artura został wzięty, a flota rosyjska została całkowicie zniszczoną. Wiedzą, że w pobliżu, w oddaleniu dwu dni drogi, czyhają krążowniki japońskie, które chcą odciąć wszelki dowóz transportów eskadrze Rożdiestwieńskiego i prawdopodobnie za nimi stoi Kamimura, by napaść na Rosyan i rozprawić się z nimi je-



Z wojny ros.-jap.: Patrol japoński na wywiadach.



Z wojny ros.-jap.: Rosyjski pancernik „Mikołaj I“, jeden ze starszych okrętów eskadry Rożdiestwieńskiego.

szcze na Oceanie Indyjskim. Walczyć w takich warunkach jest niepodobieństwem i nie zdziwilibyśmy się, gdyby ci marynarze pewnego dnia powiedzieli, że odmawiają posłuszeństwa i dalej nie pojadą.

Dla scharakteryzowania samego dowódzcy, musimy dodać, że jest on formalnie znienawidzony przez swój sztab, kapitanów wszystkich okrętów i wszystkich bez wyjątku oficerów eskadry.

Jest on znanym grubijaninem, a aroganckie wybryki wobec najpoważniejszych oficerów, waryackie i niczem nie usprawiedliwione zarządzenia, oburzające eskadrę, jego karczemne wybuchy gniewu na podwładnych, zrobiły to, że korpus oficerski podejrzywa go o obłąkanie i nawet nosi się z myślą, by go oddać pod obserwacyę lekarską i usunąć z dowództwa, jako szerzącego jak najgorszy wpływ wśród całej eskadry. Dla zillustrowania postępowania admirała dodamy, że do najstarszych oficerów odzywa się grubijańsko i wyraża się o nich zawsze jak najobelżywszymi wyrazami.

Jakie stosunki panują wśród żołnierzy, to wystarczy, jeżeli powiemy, że codziennie umiera na szpitalnym okręcie „Ariod“ jeden lub dwu majtków! Choroby szerzą się straszliwie i dziesiątkują szeregi żołnierzy, którzy nie są przyzwyczajeni do gorącego klimatu i upałów podzwrotnikowych.

Do jakiego stopnia dochodzą waryackie wybryki admirała, świadczy o tem następujący fakt: Podczas pogrzebu pewnego marynarza zauważył Rożdiestwieński, że śpiewacy źle śpiewają podczas egzekwij; nakazał więc im całymi dniami ćwiczyć się w żałobnych pieniach. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie okropne musiały sprawiać te pogrzebne pienia na chorych, wśród których wielu jest umierających!

Wysepka Nossi-Be, przy której od dwóch miesięcy stoi eskadra bałtycka, należy do archipelagu małych wysepek, grupujących się około północnego cyplu Madagaskaru i jest jednym z ważniejszych punktów kolonialnych francuskich i środowiskiem zarządu wysp. Dziwnem i niezrozumiałem jest, że Francya pozwala eskadrze rosyjskiej na tak długie przebywanie w swych portach i że Japonia dotychczas nie zgłosiła swego protestu z powodu tak oczywistego złamania prawa międzynarodowego przez Francyę, która powinna była już dawno rozkazać Rożdiestwieńskiemu opuścić Nossi-Be.

Dla zrozumienia jasnego sytucyi, w jakiej znajduje się eskadra bałtycka, musimy przypomnieć, że nietylko zagranica nie wierzyła w powodzenie wyprawy floty Rożdiestwieńskiego, ale także w Rosyi prasa radykalniejsza krytykowała śmiało i otwarcie plan wysyłania kilku tysięcy ludzi na najpewniejszą śmierć i zgubę.

Pisma rozumniejsze, nie zaślepione złudą wielkości Rosyi, nazywały podobny plan wprost lekkomyślną zbrodnią, popełnioną na kilku tysiącach młodych ludzi.

Mimo wszystko rząd rosyjski postanowił plan swój wprowadzić w czyn — gdyż istniała jeszcze wtedy nadzieja, że Port Artura i zamknięta w nim flota zdołają przy pomocy eskadry bałtyckiej wspólnymi siłami wroga odeprzeć. Tymczasem wypadki uprzedziły przyjazd eskadry bałtyckiej na wody wschodnie — i Port Artura upadł, nie doczekawszy się spodziewanej pomocy. Teraz więc, po upadku tej twierdzy i dalsza jazda eskadry na Wschód nie ma racyi, gdyż z góry jest ona skazaną na zgubę!

Ryciny nasze w obecnym numerze nasuwają każdemu cały szereg uwag.

Najcharakterystyczniejszą jest rycina, przedstawiająca zdobycie bateryi rosyjskiej przez piechotę japońską.

W koło armat, ustawionych rzędem naprzeciw zbliżających się oddziałów japońskich, leżą wybici co do jednego artylerzyści rosyjscy, a pozostał tylko oficer, któremu los kazał patrzeć na zdobycie dział jego bateryi przez przeciwnika.

Stoi przy jednem z dział, z oczyma spuszczonymi w dół, z twarzą pokrytą posępnymi zmarszczkami, z wyrazem niemocy i rezygnacyi i oddaje jedyną broń, jaka mu jeszcze pozostała, swój rewolwer, zwróciwszy lufę jego ku sobie.

Tuż obok kilku rannych żołnierzy, niemych i głuchych na wszystko, co się dzieje poza nimi, niedbałych o los tych armat, które poruczono ich obsłudze – obwijają rany krwią ciekące i zaciskają pięści z bólu i rozpaczy. A kolumna japońska zbliża się tryumfująco do bateryi, która przeszła w jej ręce. Jest to jedna z tych scen, zdarzających się dość często w wojnie obecnie się toczącej — ale tu cały tragizm leży w tem, że oddanie w ręce wroga bateryi przypadło temu oficerowi, który sam jeden z całego oddziału ocalał. Za cenę życia kazał mu los oddać nieprzyjacielowi tę bateryę — przy której walcząc padli bohatersko wszyscy inni!...

Druga z rycin przedstawia konny patrol japoński – śledzący ruch i placówki wojsk nieprzyjacielskich.

Prowadzący ją Chińczyk, przeszedł na drugą stronę pagórka, poza którym znajdowali się Rosyanie. Prawdopodobnie udaje on szpiega rosyjskiego, choć w rzeczywistości, wymachując rękami — daje odpowiednie znaki skrytym z tej strony wzgórka konnym żołnierzom japońskim. Jeden z nich, zeskoczywszy z konia, przykucnął na ziemi i bacznie śledzi okolicę i tę stronę, w którą udał się ich przewodnik-szpieg, a reszta pochyli-



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Zdobycie bateryi rosyjskiej przez piechotę japońską.

wszy się na koniach i zachowując wszystkie środki ostrożności, czeka na dalszą sposobność poczynienia jak najdokładniejszych spostrzeżeń i zebrania jak najpewniejszych wieści o sile i rozlokowaniu się Rosyan.

By dać wyobrażenie, jak wielkie straty poniosła Rosya w dotychczasowych walkach. przytoczymy trochę cyfr, które klęskę caratu przedstawią w należytem świetle i dadzą w przybliżeniu wyobrażenie o olbrzymich stratach Rosyi w ludziach na Dalekim Wschodzie.

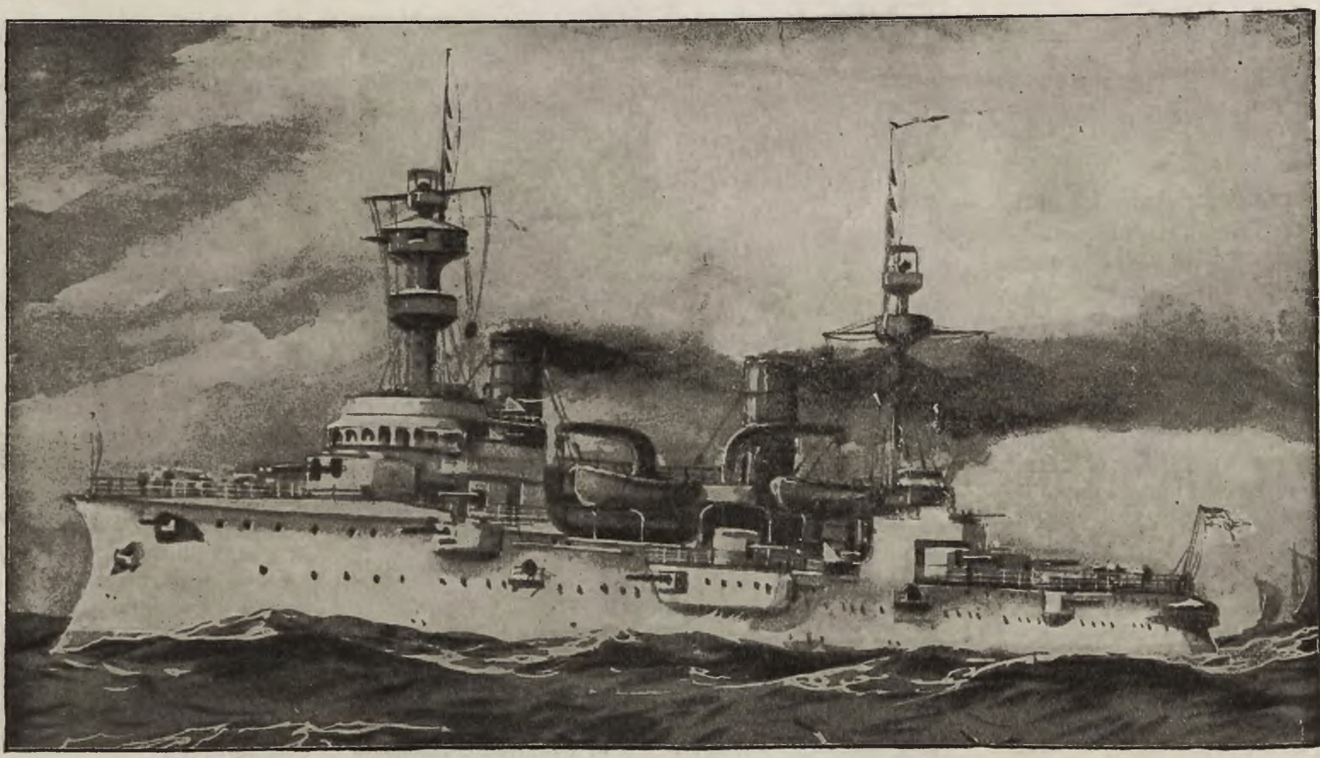
Wedle urzędowych danych straty w zabitych, rannych i wziętych do niewoli wynoszą:

nad rzeką Szaho	45.000 ludzi.
w Porcie Artura	45.000 „
pod Liaojanem	25.000 „
pod Hejkontajem	13.000 „
pod Sandepu	10.000 „
w drobniejszych walkach	22.000 „

Do tego należy dodać straty rosyjskie pod Mukdenem, które według przybliżonego obliczenia wynoszą 175.000 ludzi, a nadto chorych i ewakuowanych z armii 94.839.

W ten sposób liczba zabitych, rannych i wziętych do niewoli w ciągu 14 miesięcy wynosi 335 tysięcy ludzi, a 100.000 ludzi ewakuowanych z armii z powodu chorób, czyli, że łącznie straty dotychczasowe dosięgają okrągło liczby 450.000 ludzi.

Oto olbrzymia i przerażająca swoją wielkością liczba, która wyraźnie mówi o tych okropnych spustoszeniach i zniszczeniach, jakie sprawiła współczesna technika wojenna.

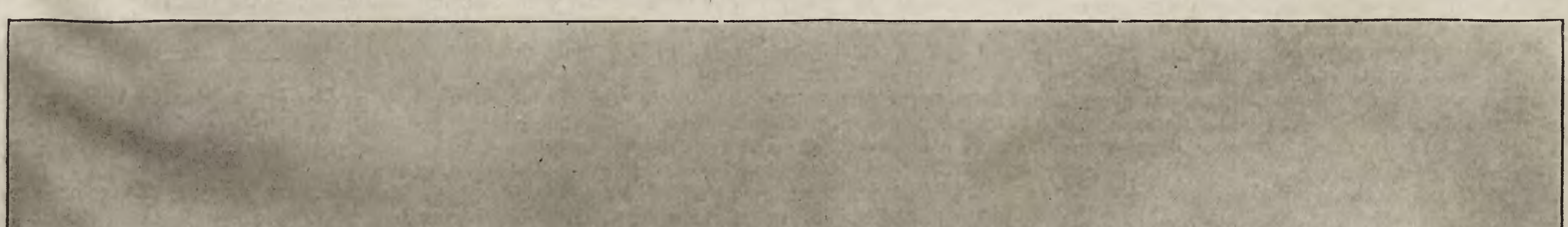


Z wojny ros.-jap.: Rosyjski pancernik „Borodino“, wchodzący w skład eskadry Rożdiestwieńskiego.

To jest pewnem, że straty te byłyby daleko mniejsze, gdyby rannych żołnierzy otaczał rząd należytą opieką. Tymczasem regułą jest, że ranni wystawieni są na największe niedostatki, na największe braki i niewygody, które sprawiają, że połowa rannych umiera z powodu nieopatrzenia ich ran, z powodu braku pomieszczenia i braku opieki lekarskiej.

Nieraz kilkanaście mil muszą ciągnąć wygłodniali i osłabieni walką ranni żołnierze, zanim dostaną się do jakiegoś szpitala. Jedna z naszych rycin przedstawia odwrót rannych z nad rzeki Szaho. Jakąś boczną drogą umyka ten transport rannych z pola walki, gdyż za nimi prawdopodobnie posuwają się już kolumny nieprzyjacielskie. Ciężej ranni, wsparci na ramionach swych towarzyszy, dotrzymują kroku lżej rannym, a ci, co już sił nie mają, by iść pieszo, jadą na małych wózkach, zaprzągniętych w pojedynkę. I tak idą przed siebie smutni i zrozpaczeni, nie znając, co im jutro przyniesie. Z kronikarskiego obowiązku notujemy tu wiadomość, że minister wojny, Sacharow, oświadczył wobec redaktora pisma „Ruś“, iż rząd rosyjski gorączkowo pracuje nad dalszem uzbrojeniem armii i wysyłaniem posiłków. Zwłokę w tem wszystkiem tłómaczył Sacharow tem, że rząd, chcąc poprzeć przemysł krajowy, poczynił zamówienia w krajowych zakładach przemysłowych, które, niedoświadczone, spóźniły się z terminem dostawy.

Dalej ważnem jest wypowiedzenie się ministra wojny co do sił rosyjskich, które brały udział w walkach pod Mukdenem. Otóż stwierdził on, że w bitwie mukdeńskiej brały udział siły rosyjskie, nie mniejsze od sił japońskich (według informacyj korespondentów zagranicznych siły te nawet były większe od japońskich), że żołnierze rosyjscy bili się nie mniej dzielnie, jak japońscy, że artylerya z jednej i drugiej strony była sobie równa — a że główna i jedyna przyczyna klęski leży w nieudolnem dowództwie generalnego sztabu. Ma się rozumieć, że tego rodzaju wynurzenie ze strony Sacharowa, należy przyjmować z uprzytomnieniem sobie równoczesnem tego, że Sacharow jest osobistym nieprzyjacielem i to największym Kuropatkina i zawsze i wszędzie pod nim dołki kopał. Sacharow był od początku wojny przeciwnikiem zamianowania Kuropatkina naczelnym wodzem wszystkich sił rosyjskich w Mandżuryi i tylko poparcie samego cara, który do Kuropatkina miał zupełne zaufanie sprawiło, że Kuropatkin naczelne dowództwo otrzymał. Klęski rosyjskie na Wschodzie nie są jednak według nas wynikiem nieudolności jednego wodza, ale są wypadkową całego systemu panującego w Rosyi, mszczącego się obecnie strasznie i krwawo!



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Odwrót rannych z nad rzeki Szaho.

KRONIKA LWOWSKA.

(Cztery pory roku w jednym tygodniu — Rokowania polityczne. — Repertuar teatru. — Pan Solski. — Piekące sprawy. — Kwestya bytu. — Kwestya bluzek. — Odczyty pani dra Nossig).

Mieliśmy w ubiegłym tygodniu każdego dnia wszystkie cztery pory roku: wiosnę, lato, jesień i zimę, a nadto kilka pośrednich, skombinowanych. Pomimo, że dzienniki tutejsze całkiem seryo oburzały się na tę kwietniową niepogodę, kwiecień figlował kilka razy dziennie, wyrządzając dużo ambarasu cierpliwym mieszkańcom.

Trzy lub cztery razy dziennie zmieniamy wierzchnią i „tę tamtą“ garderobę, stosownie do pogody lub niepogody i stosownie do tego, czy mamy co zmieniać. Prywatne lombardy szmaciane mają najwięcej do czynienia, gdyż zmuszone są nieraz tych samych klientów kilka razy dziennie obsługiwać, wydając im letnią garderobę i przyjmując zimową, a w dwie godziny później, wydając znów zimową, a przyjmując napowrót letnią. Jednem słowem: ambaras.

Tak tedy witamy prześliczną, galicyjską wiosnę, tę porę poetów i zakochanych kotów, witamy ją zachrypniętymi okrzykami i kichaniem zakatarzonych nosów, kaszlem suchotniczych płuc i poematami natchnionych wieszczów.

Jeżeli pogoda nie szczędziła nam urozmaicenia, to natomiast na zupełny brak urozmaicenia żalić się musi wasz kronikarz, gdy sięga pamięcią o cały tydzień wstecz i szuka senzacyjnych wydarzeń dla zanotowania w kronice. Nie działo się u nas poprostu nic takiego — a gdyby redakcye naszych dzienników mogły i chciały kierować się sumieniem, nie powinien się był pojawić ani jeden dziennik w ubiegłym tygodniu. Ale tyle nie można żądać... Jedyną senzacyą było to, że jednemu z tutejszych dzienników udało się nawiązać rokowania dyplomatyczne z rządem japońskim w Tokio, dzięki czemu możemy — zdaje się — odtąd być całkiem spokojni o naszą przyszłość. Jeszcze spokojniej będzie mógł patrzeć w przyszłość każdy, kto ów dziennik z dniem 1 maja zaprenumeruje. Prenumerata wraz z dwukrotną odstawą do domu wynosi 2 kor. 60 hal. miesięcznie.

To już o wiele taniej można się we Lwowie dorobić innej przyjemności, dzięki nader troskliwej opiece naszego fizykatu miejskiego. W powiecie lwowskim, w gminie Jaryczów nowy, sprawdzono urzędownie epidemię tyfusu plamistego. Otóż nasz fizykat miejski przestrzega w dziennikach publiczność, aby nie kupowała artykułów spożywczych od mieszkańców tej gminy.

Dobrze. Będą tedy odtąd nasze żony, córki, gospodynie i sługi badać na rynku każdego chłopa i każdą chłopkę, czy pochodzą z Jaryczowa, czy nie, a chłopi naturalnie będą zmuszeni informować każdego, skąd pochodzą.

Chyba, że tak. Bo inaczej nie można sobie tłómaczyć mądrego ostrzeżenia fizykatu.

To już łatwiej byłoby na rogatce miejskiej przeprowadzać podobne indagacye i nie wpuszczać wcale chłopów z Jaryczowa, a nie bezmyślnie przestrzegać publiczność.

Natomiast zdarzają się w mieście samem bardzo częste wypadki tyfusu plamistego, a fizykat miejski nie wie o nich wcale, lub nie chce wiedzieć.

A teraz słówko o teatrze. Repertuar: „Małżeństwo na żart“, „Dom na Halickiem“ — „Małżeństwo na żart“, „Dom na Halickiem“.

Jeszcze przedtem mieliśmy premierę H. Bahra: „Majster“, która ogromnie podobała się kobietom zamężnym i niezamężnym. Mężczyznom lepiej przypadło „Małżeństwo na żart“ i chętnie jeszcze dalej chodzą na tę operetkę, ażeby się dowiedzieć, że nietylko w życiu, ale i na scenie bywają zawierane małżeństwa na żart. Co się zaś tyczy sztuki Domnika „Dom na Halickiem“, to powinna mieć u lwowskiej publiczności powodzenie — gdyż akuratnie napisana jest w jej guście.

Wogóle sezon ubiegły nie miał dużego powodzenia materyalnego, a nawet trzeba się było uciekać do gościnnych występów.

Przyszłość nie zapowiada się lepiej.

Z trzech największych artystów Roman w grobie, Kamiński wędruje po prowincyi, a trzeci i ostatni, który nam został, Solski, idzie, zdaje się, już na *pe* do Krakowa, ażeby objąć dierżawę naszego teatru. Jest w tym kroku pewna — powiedzmy otwarcie — lekkomyślność. Zawsze lepiej być wielkim aktorem, aniżeli małym dyrektorem. Dyrektor zabije w nim aktora, to więcej jak pewne. A na dyrektora szczęśliwego żaden artysta nie ma szans.



Felicya Stachowicz. Fot. Bahrynowicz. Lwów.

Pan Solski powinien rozmyśleć się bodaj w ostatniej chwili i zostać we Lwowie.

Drugą piekącą sprawą zaczyna być u nas tak zwana „kwestya bytu“. Jeden z tutejszych dzienników rozpisał ankietę pod powyższym tytułem, dopuszczając do głosu wszystkie interesowane gosposie.

Niech każda napisze, jak prowadzi gospodarstwo — zapytywał ów dziennik — a my to wydrukujemy.

Nie odezwała się żadna. Dopiero redakcya poszła po rozum do głowy i wydrukowała list własnego konceptu, z podpisem jakiejś nieistniejącej pani Dulskiej, która — nie mając prawie żadnych dochodów, prowadzi sztucznie gospodarstwo przez podnajmowanie mieszkania itp. Zrobił się niesłychany ruch. Mężowie robili wyrzuty żonom, że nie potrafią oszczędzać, że za dużo wydają, że tylko pani Dulska umie oszczędnie prowadzić gospodarstwo itd. Kilkaset małżeństw znalazło się nieomal u progu rozwodu... Teraz posypały się ogniste listy naszych gospodyń, a każdy list ciskał straszne pioruny w stronę p. Dulskiej, wymyślając jej od krętaczek, złodziejek, fałszywych babsztylów, posądzając ją o oszustwo, fałszowanie monet itd. Redakcya, zasypana listami, wszystkie tajemnice domowe leżą na biurku referenta „kwestyi bytu“, a p. Dulska ma to jedno szczęście, że wcale nie istnieje na świecie — bo byłyby ją baby rozdarły w strzępy. Znalazły się takie, które pilnie dopytywały się o adres p. Dulskiej, organizując zbrojną, zbiorową wyprawę. Jednem słowem: wojna kobiet. Lada chwila oczekiwane przybycie korespondenta z biura *Reutera* i z *Timesa, Daily Mail, New-Yorker Herald* i innych światowych dzienników. Policya zaniepokojona, wojsko wzmocnione, namiestnik uciekł do puszczy niepołomskiej.

Ostanią palącą sprawą jest kwestya bluzek. Nasze panie, idąc za wzorem paryskich i wiedeńskich pań, agitują za zatrzymaniem bluzek, a nie chcą się zgodzić na wprowadzenie w modę sukien całych kostyumowych. Kwestyą tą zaniepokoiły się nasze panie do tego stopnia, że poprostu zapominają o mężach, dzieciach, o wojnie, teatrze, a nawet o przykazaniach bożych, a omawiają ciągle sprawę bluzek. Dzienniki gorliwie im pomagają, mężczyźni zmuszeni są czytać te wszystkie *pro* i *contra* i oto wisi w powietrzu nowa kwestya: bluzki, czy nie bluzki. Jakiś humorysta pisze wiersz pod tyt.: „Bluzki, czy nie bluzki“, Kamiński na najbliższym wieczorze ma deklamować wiersz „O bluzkach“, a p. dr Felicya Nossig, której odczyt „O mężczyźnie i kobiecie“ w sali ratuszowej miał duże powodzenie, zachęcona aktualnością tematu — zapowiada na najbliższą niedzielę odczyt pod tyt.: „Wpływ bluzek na kwestyę kobiecą wogólności, a społeczną w szczególności“ z demonstracyami. Bilety już rozkupione, a dwie panie, które odejść musiały bez biletów, popełniły tego dnia samobójstwo — poprawiwszy przedtem w lustrze fryzurę. *Klewe.*

Felicya Stachowicz.

Uczennica słynnej Rakiewiczowej... Po krótkiej wędrówce, debiutuje w Krakowie, jako Hanka w „Panu Damazym“ Blizińskiego i zdobywa odrazu imię pierwszorzędnej artystki. Odtąd stale jest gwiazdą... i to przez lat z górą dwadzieścia. We Lwowie pojawia się jeszcze za Dobrzańskiego, już jako znana, słynna, wielka... Przez długie lata jest jedną z najpoważniejszych sił, a były czasy, gdzie pani Stachowicz była jedyną, istotnie największą artystką. W niektórych komedyach poprostu niezrównaną. Jej *Madame sans Géne* równała się z wiedeńską Odilon, a miejscami ją prześcigała. Jej Klara w „Właścicielu Kuźnic“ jest ostatnim wyrazem aktorskiego kunsztu.

Rolą przejmuje się, studyuje ją gruntownie, a szlachetnie i umiejętnie odtwarza z niezrównaną plastyką.

Lwowska publiczność entuzyazmowała się panią Stachowiczową zawsze i lubi ją dotąd szczerze, pomimo, że stała się niezbyt częstym gościem na scenie. Ta sympatya spotyka panią S. wszędzie, gdzie występowała gościnnie, czy na prowincyi, czy nawet w Petersburgu, dokąd udała się z towarzystwem lwowskiego teatru. Wszędzie budziła zachwyt. Jest to talent znany i uznany tylokrotnie, a bezsprzecznie bardzo duży i cenny. Nadzwyczajna siła ekspresyi, swobodna rutyna i głos nadający się bardzo dobrze do cieniowania i podkreślania — to główne zalety tego talentu.

Zanotować wszystkie jej role byłoby niepodobieństwem. W każdej ważniejszej sztuce zajmuje miejsce pierwszorzędne. Spróbuję wyliczyć przynajmniej najważniejsze, t. j. te, które w interpretacyi pani Stachowiczowej nigdy nie wyjdą z pamięci publiczności teatralnej.

A więc prócz wyliczonych już powyżej: „Zaczarowane Koło“ (młynarka), „Czerwona toga“ (żona Etschepare'a), „Róża Berndt“ (rola tytułowa), „Woźnica Henschel“ (Hanka), „Nadzieja“ (narzeczona), „Uriel Acosta“ (Judyta), „Schadzka“ (Julia), „Mąż z grzeczności“ (żona), „Pan Dyrektor“ (żona), „Bergerac“ (Roxana), „Mazepa“ (wojewodzina) „Balladyna“ (Alina), „Lilla Weneda“ (rola tytułowa), „Medor“ (żona) i inne. *Kl.*

Kącik humorystyczny.

Nasze dzieci.

Janek:

— Mamusiu, czy dziatwę Muzy też przynosi bocian?

Przykry wybór.

— Nie wiem, co robić? Mam przesłać do agencyi małżeńskiej fotografię, a mam tylko takie, na których twarz młoda, ale moda stara, a na nowszych, to znów odwrotnie.

Niespodziane odkrycie.

— Cóż to po wyroku Jacek taki wielki?

— Bo go na czas dwuletni pozbawili prawa i przywilejów, o posiadaniu których nic mu nie było wiadomo.

Logika dziecięca.

Mały Janek (słuchając śpiewaków podwórzowych):

— Oni ciągle śpiewają „Dam ci wszystkie skarby świata“ — a potem chodzą do tatki po centa!...

W salonie.

— Słyszała pani, Kisielewski napisał jakąś „Sonatę?“

— Który? Czy ten, co stworzył „Szaloną Julkę?“

— Ten sam.

— Patrz pani, ja nic nie wiedziałam, że on muzykalny.

— Ach, jakże można nie wiedzieć! Przecież on nawet występował w Filharmonii!!

Czelny.

— Panie gospodarzu, wódka ogromnie przypomina spirytus drzewny.

— No, może za dziesięć centów ma przypominać tokaj?

ANTONI CZECHOW.

WILK

(Z prac drukowanych po śmierci autora).

Z rosyjskiego przełożył M. S,

2 (Ciąg dalszy).

— Łatwo to mówić tobie! — westchnął sędzia śledczy, spoglądając z zazdrością na potężne bary towarzysza—dzięki Bogu masz tyle siły, że mógłbyś wystarczyć za dziesięciu. Tobie i laski nie trzeba wcale, jednym palcem śmiało możesz psa zabić. Lecz zanim zwykły śmiertelnik miałby czas laskę podnieść, zanim wymiarkowałby sobie, gdzie i w które miejsce trzeba uderzyć, pies by go już z dziesięć razy pokąsał! Wiadoma i przykra historya... A niema bardziej bolesnej, bardziej strasznej choroby, jak wodowstręt. Kiedy pierwszy raz miałem sposobność zobaczyć człowieka chorego na wściekliznę, pięć dni chodziłem jak waryat, a na psy patrzeć nie mogłem, a właścicieli psów znienawidziłem, jak wrogów ludzkości! A najstraszniejszy to początek tej choroby... Ot idzie sobie człowiek spokojnie, nie spodziewając się niczego, a tu ni stąd ni zowąd wściekły pies rzuca się nań nagle! I w tej chwili w mózgu pokąsanego rodzi się potworna swą grozą myśl, że jest beznadziejnie, bez ratunku zgubiony!.. Uprzytomni już teraz tylko sobie to oczekiwanie pokąsanego na wybuch choroby, to oczekiwanie, które ani na chwilę go nie opuszcza, ściga go na każdym kroku, nawet we śnie... A po oczekiwaniu następuje choroba sama. Co zaś jest najstraszniejsze, to chyba to właśnie, że wyleczyć jej nie można. Jeśli raz zachorujesz, to już bracie przepadłeś! O ile wiem, to medycyna niema na wodowstręt lekarstwa, a niema wskazówek, jakby mu można zapobiedz!..

— U nas we wsi leczą z wścieklizny, wasza miłość — rzekł zwolna Maksym — Miron wykuruje każdego!

— Głupstwo!—westchnął Niłow.—Co się tyczy Mirona, to są proste plotki i czcze gadanie. Zeszłego lata wściekły pies pokąsał we wsi Stjopkę, a żaden Miron nie pomógł mu wcale. Dostał wścieklizny, choć karmili go najróżnorodniejszemi ziołami. Gdyby mnie się coś podobnego przydarzyło, gdyby tak mnie wściekły pies pokąsał, bez wahania palnąłbym sobie w łeb i koniec.

Te straszne opowiadania o wściekliźnie, zrobiły swoje. Myśliwi ucichli i w milczeniu popijali herbatę. Każdy mimowolnie utonął w zamyśleniu nad tem, jak życie ludzkie zawisło od okoliczności, od lada drobnostki, od chwilki szczęścia, lub nieszczęścia, a czasem i od takiej bagatelki, na którą, jak to mówią i splunąć nie warto. I wszystkim zrobiło się ciężko, smutno jakoś na sercu.

Niłow przeciągnął się i powstał z ławy... Zebrała go chęć wyjść trochę na świeże powietrze. Wyszedł z izby i jakiś czas kręcił się koło spichrzów, potem otworzył małą furtkę i wyszedł na pole. Zmrok zapadł już dawno i noc roztoczyła swe panowanie nad ziemią.

Na długiej tamie, skąpanej w jasnem świetle księżyca, cienia żadnego nie było widać, a w samym środku, jak gwiazdka, błyszczała szklanna szyjka jakiejś rozbitej flaszki. Dwa potężne koła młyńskie, ocienione brzegiem wysoko położonej łąki, spoczywały smutno. Niłow odetchnął pełną piersią i spojrzał na rzekę. Cisza panowała dokoła. Zdawało się, że całe życie zamarło. Woda i brzegi wyglądały jakby w śnie pogrążone, a nawet żadna rybka nie plusnęła wśród fali. I nagle zdawało się Niłowowi, że widzi jakiś czarny cień, który jak kula wytoczył się z krzaków łoziny. Cień znikł, ale niebawem pokazał się znowu i potoczył w zygzakach ku tamie.

— Wilk!—przypomniał sobie Niłow.

Lecz zanim powstała w jego głowie myśl, że powinien jak najprędzej powracać do młyna, czarna kula, w ciągłych zygzakach, przetoczyła się przed tamą, wprost na Niłowa.

— Jeśli zacznę uciekać, napadnie mnie z tyłu! — rozmyślał Niłow i uczuł równocześnie, jak włosy dębem mu stają na głowie.—Mój Boże, żebym to miał choć kawałek kija przy sobie! No! najlepiej tu pozostanę i... i uduszę go!...

Niłow począł teraz bacznie śledzić ruchy wilka i każde drgnięcie jego cielska. Wilk przebiegł już przez tamkę i zdążając prosto, był już na wysokości Niłowa.

— Pójdzie prosto i minie mnie! — pomyślał Niłow, nie spuszczając wilka z oczu.

Ale w tej chwili wilk, nie patrząc nań nawet, zawył długo, żałośnie i nagle zwróciwszy pysk w stronę Niłowa, zatrzymał się tuż przed nim. Zdawało się, jak gdyby zwierz się namyślał, czy ma się rzucić na niego, czy przejść, nie zwracając nań uwagi.

— Pięścią zwalić w łeb! — dumał Niłow. — Ogłuszyć!...

Niłow tak stracił panowanie nad sobą, że nawet nie zauważył, kto pierwszy zaczął walkę: on, czy wilk? Jedno tylko czuł i rozumiał. Wiedział, że znajduje się w bardzo krytycznym momencie, że musi całą swą siłę skoncentrować w prawej ręce i pochwycić wilka za szyję, tuż koło karku. I wówczas stało się coś nadzwyczajnego, coś, w co nikt by nie uwierzył, a co samemu Niłowowi zdawało się być sennem złudzeniem. Wilk zaskowyczał żałośnie i szarpnął się z taką wściekłą siłą, że Niłow czuł, jak mokre kudły wraz ze skórą wyślizgują mu się z pomiędzy palców, a wilk starając się oswodzić z żelaznego uścisku człowieka, stanął na tylnych łapach. Wtedy Niłow lewą dłonią uchwycił go za prawą łapę, tuż przy nasadzie ramieniowej, szybko puścił kark, prawą rękę zacisnął w tem samem miejscu, przy lewej łapie i dźwignął wilka w górę. Ta scena rozegrała się w mgnieniu oka. Żeby wilk nie mógł pokąsać mu rąk, Niłow oba kciuki, niby dwie ostrogi sparł w jego szyi, wilk zaś, sparłszy się łapami o jego bary, zaczął się wyrywać z niesłychaną siłą. Rąk aż po łokcie nie mógł kąsać, a kurczowo zaciśnięte palce, które mu straszny ból sprawiały, nie pozwalały dosięgnąć pyskiem ani twarzy, ani pleców przeciwnika.

— Źle ze mną!—pomyślał Niłow, cofając głowę w tył, jak mógł najbardziej.—Czuję już ślinę bestyi na ustach, wi:c zginąłem, choćbym nawet jakimś cudem potrafił uwolnić się od niego.

— Do mnie! na pomoc! — zaczął krzyczeć — Maksym do mnie!

Głowy obu zapaśników, znajdowały się na jednej wysokości. Niłow i wilk patrzyli sobie wprost w oczy. Wilk zgrzytał zębami, z gardła wydobywało mu się straszne rzęrzenie, a piana toczyła z pyska. Tylnemi łapami szukał punktu oparcia i szarpał kolana Niłowa co chwila, a w oczach jego nie widać było wcale szału—przeciwnie, zdawało się, że płaczą, że podobne są do ludzkich źrenic.

— Do mnie! — krzyknął jeszcze raz Niłow. — Maksym!...

Ale wołania tego nie słyszano we młynie. A Niłow instynktownie poczuł, że ten forsowny krzyk odbiera mu siły, więc wołał o pomoc o wiele ciszej.

— Trzeba się cofać powoli! — postanowił — w ten sposób podejdę do młyna i wtedy zawołam na Maksyma.

I zaczął posuwać się w stronę młyna, ale zaledwie postąpił jakie dwa arszyny uczuł, że prawa ręka słabnie mu coraz bardziej i że zwolna poczyna drętwieć. A potem nastąpiła chwila, w której posłyszał swój własny, przerażający, rozpaczliwy krzyk, w której poczuł szalony ból w prawem ramieniu i jakieś wilgotne ciepło, rozlewające się po plecach, sięgające nawet do piersi. Potem posłyszał głos Maksyma i dojrzał wyraz przerażenia w twarzy sędziego śledczego, który nadbiegł mu z pomocą. Przeciwnika zaś swego wypuścił z rąk wtedy dopiero, gdy mu palce siłą otworzono i udowodniono, że wilk wydał już ostatnie tchnienie. Ogłuszony tem strasznem przejściem, czując krew spływającą po ciele i sięgającą już aż do butów, bliski omdlenia, powrócił do młyna. Światło, widok samowaru i flaszek, przyprowadziły go do przytomności, przywiodły na pamięć niebezpieczeństwo, jakie już przeżył i jakie się dlań dopiero miało rozpocząć. Blady, z rozwartemi szeroko oczyma, usiadł na worach i opuścił ręce bezradnie. Maksym wraz z sędzią śledczym, zdjęli zeń ubranie i zaczęli opatrywać ranę. Była ona wcale poważna. Wilk zdarł mu skórę na całych plecach i naruszył nawet muszkuły.

— Dlaczegoś go pan nie cisnął do rzeki? — zapytał z oburzeniem pobladły sędzia śledczy, tamując upływającą krew. — Dlaczegoś go pan nie rzucił do rzeki?!...

— Nie przyszło mi to na myśl! Mój Boże! nie przyszło mi to wcale na myśl!

Sędzia śledczy zaczął go pocieszać i starał się wzbudzić w nim nadzieję, ale po tem, co sam w tak czarnych barwach wspominał o wodowstręcie, nie szło mu to zbyt sporo i zamilkł. Gdy zabandażowano ranę, o ile się udało najlepiej, Maksym posłał do dworu po konie, ale Niłow nie chciał czekać na wózek i poszedł piechotą do domu.

Na drugi dzień rano koło szóstej zjawił się we młynie blady, nieuczesany, z wyrazem troski i bólu na niewyspanej twarzy.

— Dziadku! — rzekł do Maksyma—zaprowadź mnie do Mirona! prędzej! chodź, siadaj na wózek!..

Maksym, który także całą noc nie spał i był blady, zastanowił się na chwilę, spojrzał do koła i rzekł prawie szeptem:

— Nie potrzeba jechać do Mirona, wasza miłość... Niech wasza miłość wybaczy, ale ja sam mogę was wyleczyć!...

— Dobrze! ale proszę was prędzej!

I Niłow zaczął niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Stary kazał mu stanąć tak, żeby się twarzą zwrócił ku wschodowi i podał mu do wypicia kubek wstrętnego ciepłego płynu, który miał posmak podobny do wermutu.

— Stjopka umarł!..—zamruczał Niłow.—Dajmy na to, że lud istotnie zna taki środek, ale... dlaczego Stjopka umarł? Maksym, bądź co bądź, zawieź mnie do Mirona!

Od Mirona, któremu nie ufał, udał się do Owczynnikowa do szpitala. Tu, otrzymawszy pigułki z belladoną i radą, aby leżał w łóżku, zmienił konie i nie zważając na straszny ból w ramieniu, pojechał szukać porady u stołecznych lekarzy.

Po czterech dniach, późnym wieczorem, zjawił się znów u Owczynnikowa i rzucił się na dywan.

— Doktorze! — zaczął, starając się złapać oddech i ocierając rękawem pot z wychudłej, bladej twarzy.—Grzegorzu Iwanowiczu! Rób ty ze mną, co chcesz, ale ja tak dłużej żyć nie mogę! Wylecz mnie, albo otruj, ale nie pozostawiaj w tym stanie! Na miłość Boską, ja czuje, że zwaryuję!..

— Pan musisz położyć się do łóżka! — rzekł Owczynnikow.

— Ach! daj mi pan spokój z tem swojem leżeniem! Ja pytam przecież pana jasno i po rosyjsku: co ja mam robić? Pan jesteś lekarzem, więc powinieneś mi pomódz! Ja cierpię! Mnie każdej chwili się zdaje, że zaczynam dostawać napadów wścieklizny! Ja nie śpię, ja nie jem, robota z rąk mi wypada! Tu w kieszeni mam rewolwer i lada chwila dobędę go, żeby sobie w łeb palnąć! Grzegorzu Iwanowiczu, zajmij ty się mną na miłość Bożą! Co ja mam robić? Może jechać do profesorów?

— To jest wszystko jedno. Jedź pan, jak chcesz!...

— Słuchaj pan, a gdybym ja tak, powiedzmy, naznaczył nagrodę i zobowiązał się pięćdziesiąt tysięcy rubli wypłacić temu, kto mnie wyleczy? Co pan sądzisz? ha? Chociaż, zanim to wydrukują, zanim... tysiąc razy możesz się już wściec bracie! Gotów jestem oddać cały swój majątek! Wylecz mnie doktorze, a dam ci pięćdziesiąt tysięcy! Zajmij się pan mną przecież! Zrozum-że pan, że ja teraz każdej musze zazdroszczę... ja jestem nieszczęśliwy, moja cała rodzina jest nieszczęśliwa!...

Niłow wstrząsnął się, jakby go dreszcz przeszedł i począł płakać.

— Słuchaj pan!—pocieszał go Owczynnikow.—Ja nie pojmuję dokładnie pańskiego wzruszenia. Czego pan płacze? Dlaczego pan sam umyślnie chce powiększać grozę położenia? Zrozum pan, że więcej okoliczności przemawia za tem, iż pan nie zachorujesz, jak za tem, że zachorujesz! Najpierw na stu ukąszonych, trzydziestu tylko podlega wściekliźnie. Potem, co jest bardzo ważne, wilk ugryzł pana przez ubranie, co znaczy, że jad przedewszystkiem został w suknie. Gdyby jednak jad i dostał się do rany, to przy tym strasznym krwotoku, jaki pan miałeś, musiał wypłynąć wraz z krwią. Co do wodowstrętu, to ja jestem całkiem spokojny, gorzej niepokoi mnie pańska rana. Boję się, żeby wskutek zaniedbania z pana strony, nie nastąpiły w niej jakieś niebezpieczne komplikacye!...

— Tak pan sądzisz? Czy pan mnie chcesz tylko uspokoić, czy mówisz to z przekonania!

— Słowo honoru daję, że z przekonania! Proszę bierz pan i czytaj!

Owczynnikow wziął z półki książkę i wyszukawszy w niej rozdział, traktujący o wściekliźnie, począł odczytywać Niłowowi.

— A więc nie niepokój się pan całkiem bezpotrzebnie — rzekł wreszcie, skończywszy czytanie. — Zwłaszcza, że muszę panu i na to zwrócić uwagę, że nikt z nas nie wie, czy ten wilk był zdrów, czy wściekły!...

— No tak!... — potwierdził Niłow z uśmiechem.—No, teraz rozumiem już wszystko! Więc to ostatecznie jest głupstwo!

(Dokończenie nastąpi).

Zegarek artystki.

(Humoreska).

3 (Dokończenie)

— Zapewne... dowieść mu tej zbrodni nie będzie tak łatwem, na wszelki jednak wypadek radzę pani mieć się na baczności!... — O! świat jest zły, nie masz pani pojęcia, jak zły — dorzucił melancholijnie.

— O tak! tak! – zawtórowała z westchnieniem artystka – świat jest bardzo zły!...

Gość poprawił się w fotelu i mówił dalej z powagą:

— A zresztą, czyliż jego fizyonomia nie zdradza już wybitnego, zwyrodniałego typu zbrodniarza?... Czy pani łaskawa zna frenologię?

— Nie, panie! – odpowiedziała śpiewaczka, spuszczając oczy — przyjechałam tu dla wypoczynku i ogółem, teatrem i sztuką nie zajmuję się na razie!... Frenologii dotychczas nie znam jeszcze, ale słyszałam już wiele o tej operetce. Sądzę nawet, że dyrekcya nasza postara się o jej wystawienie i oczywiście znowu mnie obarczy tytułową rolą – zakończyła z westchnieniem męczennicy.

Młody człowiek przygryzał usta i opanowywał całą siłą woli uczucie wesołości, ogarniające go przy wywodach artystki o „nowej operetce“ i nie tracąc nic z swej powagi, wyłuszczał dalej swoje poglądy.

— Czy pani uważała, że ciemne to indywiduum, które dopuściło się zamachu na własność pani ma szczególniejszego rodzaju budowę czaszki?

— O! tak! jest całkiem łysa! – dorzuciła artystka, dostrajając się do poważnego tonu rozmowy.

— Wystające szczęki — opisywał gość dalej zbrodniarza.

— I to prawie bez zębów! — dodała znowu pogardliwym tonem piękna gospodyni.

— Tak jest, bez zębów! — podchwycił żywo oskarżyciel, ukazując w śmiechu, jakby dla kontrastu z zbrodniarzem, część własnego kompletnego uzębienia. — A ten nos! ten nos!... czy pani nic nie spostrzegła?

Owszem! — odparła z godnością — spostrzegłam: okulary.

— To wszystko potwierdzałoby poniekąd moje domniemanie, doprowadzałoby mnie do wniosku, że...

Lecz zanim prawnik zdołał straszny swój wniosek sformułować — zapukano do drzwi i do pokoju weszła służąca.

— W sieni jest znowu ten jakiś pan Zawszechwacki — zameldowała — ten wczorajszy, proszę pani — dodała objaśniająco.

Kandydat adwokacki podskoczył na fotelu.

— Ach! to wyjątkowa bezczelność! — zawołał z oburzeniem, a zwracając się do gospodyni, zapytał:

— Wszak pani go nie przyjmiesz?

— Ani mi się śni! — krzyknęła z odrazą panna Tola. — Wypraszam sobie raz na zawsze odwiedziny tego łotra!

— Ten człowiek powiada, że znalazł zegarek pani! — zauważyła pokojówka.

Prawnik zerwał się jak oparzony.

— On znalazł zegarek?! — krzyknął z ironią — ten niecny człowiek chce w dodatku wyłudzić od pani „znaleźne!...“ Niech no najprzód pokaże ten zegarek, jeżeli go ma wogóle!

Pokojówka wyszła do sieni i powróciła niebawem z zegarkiem za 120 guldenów.

— Czy to istotnie jest pani zegarek? — inkwirował surowo młodzieniec.

— Nie! absolutnie nie! — zapewniła stanowczym głosem gospodyni. Mój zegarek był wysadzany brylantami.

Kandydat na adwokata wziął go teraz do ręki i oglądał badawczo.

— To jest najzwyczajniejszy tombakowy zegarek! – zaopiniował. Widzisz więc pani, że miałem słuszność!

— Pani skinęła – i pokojówka zniknęła wraz z zegarkiem w sieni.

— Jak to dobrze, panie mecenasie, żeś pan przyszedł, że ostrzegłeś mnie! – rzekła z wdzięcznem spojrzeniem aktorka. Kto wie, do czegoby się jeszcze ten stary oszust posunął!

— Nie będzie on więcej niepokoił pani! – zawołał gość z męską stanowczością. – Poczynię wszystkie kroki, by łotra uczynić nieszkodliwym! Czy pozwoli pani, że odwiedzę ją za kilka dni, by poinformować o dalszym rozwoju wypadków?

— O! tak! proszę! będziesz pan zawsze miłym gościem u mnie! — zapewniała z rozrzewnieniem i wdzięcznością. – Ale przecież nie ucieka pan jeszcze?

— Niestety!... muszę... do policyi!

— Ach! pójść pan może trochę później!... Wypijemy po szklance herbaty! Zgoda?!...

* * *

W niespełna dwa tygodnie zaalarmowała kąpielowych gości niespodziewana wieść:

Urocza artystka z Warszawy panna N., bawiąca dla poratowania zdrowia w kąpielach — zaręczyła się z młodym kandydatem praw, niejakim panem Zawszechwackim.

— Powiedz mi, moja kochana – zapytał pewnego razu swej narzeczonej – co to za zegarek ma twoja pokojówka? Zdaje mi się, jakbym go gdzieś już widział!

— I nie mylisz się wcale, mój drogi!... Ten stary łajdak – pamiętasz go? – darował mojej pokojówce tę klepsydrę. – No, bo zresztą cóż mógł był z tombakowym zegarkiem zrobić?!

Spotkawszy zimą w Krakowie grubego radcę, nie mógł młody człowiek wstrzymać się od zrobienia z nim „interwiewu“ – i udając, jak to mówią „z głupia franta“ – zapytał go o szczegóły ostatniej wizyty u śpiewaczki.

Przyparty do muru – przyznał się stary do wszystkiego, opowiedział swą porażkę w willi „Ustronie“ i dodał na zakończenie:

— Prezent mi zwrócono, nie wpuściwszy nawet za próg pokoju... I cóż miałem z tym fantem zrobić? Szelma żyd nie chciał go przyjąć napowrót i pieniędzy zwrócić!... Zatrzymać go nie mogłem, no, bo cóżby powiedziała żona, znalazłszy u mnie damski zegarek?!... Więc wiesz pan, co zrobiłem?.. Darowałem go pokojówce tej śpiewaczki!..

— Czy pan się z nią widujesz? – zapytał po chwili, patrząc na niego bystro z po za złotych okularów.

— Tak jest! od czasu do czasu! — bąknął niedbałym tonem prawnik.

— I cóż porabia?...

— Dziwnym zbiegiem okoliczności, zgubiwszy zegarek na drodze do parku, znalazła na innej drodze — męża!

— Co? ona wyszła za mąż? - zawołał w najwyższem zdumieniu radca! — no! patrzcie państwo!...

Po chwili dodał sentymentalnie:

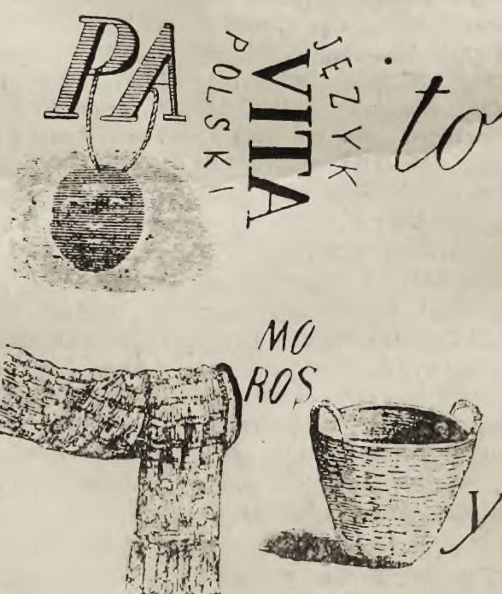
— Ciekaw też jestem, czy pamięta mnie jeszcze i czy niema mi za złe mego natręctwa...

— Bądź pan spokojny! — zawołał młody człowiek wesoło, podając rękę zdumionemu przyjacielowi. Bądź spokojnym!... M o j a ż o n a niema najmniejszej urazy do pana!... *K. Rum.*

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył K. K.

Cztery sylaby szarada ta mieści,
Ich kombinacye rozmaitej treści.
Więc *sama pierwsza* w naszym alfabecie,
A *sama trzecia* — ton w muzycznym świecie.
O *samym czwartym* — uczy gramatyka,
Do tych się mówi, z którymi się „t y k a“.
Pojazdy to są *pierwsze, trzecie, czwarte*,
Mogą być kryte, mogą być otwarte.
Pierwsze i *czwarte* tych ludzi mianuje,
Którzy są gorsi, niż łotry i zbóje.
Drugie i *pierwsze*, jak się domyślicie,
To wierszokleta, co chodził w habicie.
Po *czwartej, pierwszej* groch i wyka pnie się,
Zawsze w ogrodach, nigdy za to w lesie,
Pierwsze i *drugie* połączone z *czwartem*
Znaczy ubranie: źle, gdy jest podartem.
Całość – odgadniesz, miły czytelniku:
Typ najnowszego w Francyi teatrzyku.

Logogryf.

Z niżej zamieszczonych zgłosek ułożyć 14 wyrazów. których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, końcowe zaś czytane w tym samym kierunku – tytuł jego powieści.

Sylaby: a, bórz, bu, ce, ci, ci, ci, dez, dzie, ed, eu, fer, flan, in, ka, lim, mał, mund, nan, ni, niedź, o, ra, sad, sce, se, sól, stwo, ta, wie, won, żeń, żłób.

Znaczenie wyrazów:

1. Minerał.
2. Tytuł powieści.
3. Imię męskie.
4. Podróżnik po Afryce.
5. Ludzie, którzy się skazali na życie bez przyjemności.
6. Zwierzęta dzikie północne.
7. Sprzęt stajenny.
8. Bohaterka z powieści Sienkiewicza.
9. Miasto na Górnym Śląsku.
10. Ciało stałe, wynikłe z płynu.
11. Sakrament.
12. Imię arabskie.
13. Owoc.
14. Naród północny.

Arytmogryf.

ułożył J. F.

W miejsce liczb wstawić litery, które dadzą następujące wyrazy: środkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko zmarłego niedawno malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę,
3. Tytuł opery.
4. Płyn.
5. Imię żeńskie.
6. Zabawka.
7. Miasto w Wielkopolsce.
8. Literat polski.
9. Środek egzekucyjny w dawnej Polsce.
10. Miasto w Egipcie.
11. Odlewarnia dział.
12. Pseudonim humorysty i nowelisty.
13. Zwierzę.
14. Kłamstwo.
15. Sławny rozbójnik.
16. Ptak.
17. Imię żeńskie.
18. Obraz tegoż malarza.
19. Obraz tegoż malarza.
20. To samo.
21. To samo.
22. Dzieło etnograficzne tegoż malarza.
23. Obraz tegoż malarza.

6
10 **15** 1
4 15 **12** 1 15
17 12 **8** 1 14
17 15 **10** 4 15
2 10 **9** 5 15
19 13 **8** 21 17
16 22 8 5 8 **12** 8 22 18 8 7
22 7 8 1 6 **22** 3 15 19 9 15
15 12 8 1 18 **15** 7 11 10 9 15
12 23 11 6 22 **18** 15 10 7 22 15
1 15 **24** 8 3
18 15 **10** 7 15
16 12 **15** 5 15
17 15 **11** 8 20
14 10 **24** 8 21
15 12 **22** 7 15
1 12 23 19 24 7 22 **1** 5 8 10 6 15 24 9
18 14 16 22 8 18 1 22 25 **14** 11 6 23 8 11 7 22 8 17
16 14 5 22 7 1 22 **6** 3 15 3 10 15 19 4
1 21 23 **18** 14 6 7 22 1
25 10 24 8 6 14 11 7 22 **1** 25 14 3 14 3 10 15 19 4
28 27 21 1 22 8 6 18 1 **22** 25 14 11 19 8 14 10 26

Jakp nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy:

„W gościnie u Turków“
A. Lejkina.

Rozwiązania z Nru 14.

Rebus: Żebrak śmielszy bywa do Pana Boga, niż do ludzi.

Szarady: Japonia – Moskale.

Logogryf: Rewolucya w Petersburgu. – Wojna rosyjsko-japońska.

Logogryf literacki: Konrad Wallenrod.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Josefert Kraków, Łaszkiewicz Słotwina, Ramułtowa Jeżów, Gocka Rożniatów, Wasiewiczowa Baranów, E. Noss Czortków, Coelner Rozwadów, Opolska Czarny Dunajec, Habermann Mikulińce, Najkowski Łańcut, Fuchs Peczeniżyn, Sędzimirowa Krakowiec, Mokrzycka Turbia, Dancewicz Porchowa, Śliwa Gorlice, Krajewski Radomyśl, Domain Brzozów, Chodkiewicz Zbydniów, Rożański Nowy Sącz, Medyńska Tarnopol, Huzarowa Byczkowce, Jagiełłowicz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. M. Sędzimirowa w Krakowcu. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Główny skład sprzedaży Cegiełek węglowych »ANNA« Kraków, ul. Pawia 12 Telefon 59.



Salonowe Cegiełki węglowe „ANNA"
najlepsze, najczystsze. i najtańsze paliwo. Nadają się do każdego pieca, 15—20 sztuk dziennie wystarcza do opału pokoju.

Salonowe Cegiełki węglowe „ANNA"
sporządzone są z czystego węgla, nie dymią i nie zalewają rusztów, spalają się bezwonnie, ułatwiają kontrolę.

Za 1000 szt. z odstawą do domu K16, najmniejsza dostawa 500 szt.

Główny Skład Sprzedaży Cegiełek węglowych (w składzie węgla) ul. Pawia 12 Telefon 59.

NA OBECNĄ PORĘ!

PIERWSZA BERNEŃSKA CHEMICZNA PRALNIA I FARBIARNIA

R. TSCHÖRNERA, w Krakowie, ulica Szewska l. 19.

Chemiczne czyszczenie garderob męskich, damskich i dla dzieci, materye na meble, aksamitów, firanek, dywanów, parasolek i t. p. w najdokładniejszem wykonaniu.
Przefarbowanie wszelkich garderob w najprawdziwszych barwach z kompletnem wykończeniem. — **Pralnia i farbiarnia firanek i koronek.** — Firma wprowadziła ten dział przemysłu w Morawach i w Szląsku.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny
sznelkowy
obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **== po złr. 2·50 ==** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GÖDING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Oryginalne SINGERA

Należy uważać na markę fabryczną

THE SINGER MANF'G. CO. TRADE MARK

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Ziednoczone)
otrzymały

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix"
Siedm złotych medali

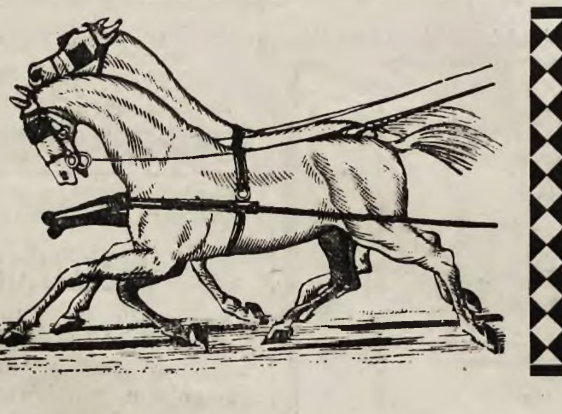
Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ul. Jagiellońska. Chrzanów: Mickiewicza.

4

S. Piotrowicz
rymarz i siodlarz
(przedtem A. Szklarski)
W KRAKOWIE
ul. Floryanska l. 8
poleca wyroby własne: uprzęże, siodła, kufry i przybory do podróży.
= Ceny umiarkowane =



Do nabycia we wszystkich większych handlach

PARVEOL



Marka ustawowo chroniona.
Tylko tą marką zaopatrzone paczki są prawdziwe.

NAJCZYSTSZE
GWARANTOWANE
MASŁO ROŚLINNE
zastępuje najzupełniej masło naturalne.
Niezbędne w każdej kuchni do gotowania, smażenia i pieczenia. 167

Z FABRYKI JON. SINGERA w BIELSKU (Szląsk austr.)
Jen. zastępca dla Galicyi i Bukowiny: Szymon Loria, Kraków, Sebastyana 20.

BIURO TECHNICZNE **F. LORD** **KRAKOW Floryańska 55.**
TELEFON Nr. 230.

Skład maszyn, narzędzi i artykułów technicznych dla wszelkich gałęzi przemysłu.
Zastępstwo Austryackich zakładów **„Siemens-Schuckert"**, Wien.
Instalacya elektrycznego oświetlenia i przeniesienia siły; plany, kosztorysy, i projekty gratis. Maszyny parowe, kotły, motory gazowe i generatory. Kamienie francuskie i krajowe. Walce porcelanowe i stalowe. Pompy i sikawki.
Węże gumowe i parciane.

Skład i wyłączna sprzedaż oryginalnych rosyjskich olei smarowych firmy: S. M. Schibaef & Co. Tłuszcz Towota. Zastępstwo firmy F. Reddaway & Co. Ltd. dla pasów oryginalnych „Reddaway". Pasy skórzane, parciane i gumowe. Paski do szycia i krupony. Płyty i sznury gumowe i asbestowe. Przybory do maszyn (armatury) wszelkiego rodzaju. Liny parciane i druciane. Płótna i papier szmirglowy. Maźnice i oliwiarki wszelkiego rodzaju. Pokrowce nieprzemakalne i wszelkie armatury dla urządzeń wodociągowych, łazienek i klozetów. Dzwonki elektryczne i przybory do tychże. Papier szybrowy.

Filia w Krynicy pod białą różą.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po złr. 7·50.
Oraz na składzie wielki wybór
Guniek zakopiańskich damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziec.
Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. — Wszystko wyrobu własnego.
Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45
nad Apteką pod „Białym orłem".

Filia w Krynicy pod białą różą.

Poleca rozmaite wyborne gatunki
KAWY
codziennie świeżej
równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem
za pomocą gorącego powietrza
odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości
po cenach bardzo przystępnych.
Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę **2—14**
= opłatnie. =

Pierwsza Krakowska
elektro-mechaniczna
PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.